CENA ZŁ 20

W numerze: Egona Naganowskiego „André Gide“

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW
KATOWICE

NUMER 1 (163) KATOWICE, WROCŁAW SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 9 STYCZNIA 1949 ROKU ROK V

WYŻSZA SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO GDYNI POMOCE NAUKOWE

~~60195~~
02015

JAROSŁAW ROGALA

Uśmiech Świętoborzyca

czyli klasztor z kaprysu śledzi

Napisy na murze głoszą:

„Annus milenus centum septuagen ternus erat Christi quod Kolbaz facta fuisti.“

„Wartislaw II Swantebori Filius fundator monasterii in Colbaz MCLXXIII.“

Wiadomo, że nielada rewelacją są w Polsce architektoniczne zabytki romańszczyzny. Uległy one albo burzom dziejowym albo pokryły je dalsze przebudowy. A jednak epoka tego stylu ani życia prywatnego ani zbiorowego nie prowadziła przecie pod gołym niebem. Teraz tu i tam odkrywa się — po nowej wichurze wojennej — ocalałe romańskie kamienie.

U nas słyszałem o nich od początku wmieszkania się w szczecińskie.

— Kolbacz, klasztor w Kolbaczu, ma romańskie kolumny.

Długo zwlekałem, aż wreszcie wybrałem się. To nie daleko.

Szosą na Stargard mija się lotnisko i potem gładką nawierzchnią aż do odgałęzienia na prawo. To stary szlak, główny szlak komunikacji z Polską za Krzywousta, droga chrystianizacyjna od Poznania, od Pyrzyc...

Wokoło stacyjki Wrzosy istotnie zielenił się świeży wrzos, a zaraz czeremcha pachniała majowo i odurzająco. Wkrótce z żywego, zielonego lasu wypadliśmy na przestwór. Z jednej strony jasną żółcizną kwitł rzepak, w drugą przykuwał oczy widok ciemnego igliwia, na którym jasno kłębiła się liściasta zieloność.

— Patrz, co za kolor! — daliśmy się urzec.

Pędzimy dalej zapatrzeni, zagadani, wchłaniając pęd powietrza pól, aż spostrzegam się. Przecie przeskoczyliśmy tor i wioskę, a oto: jeziora, wpadamy na mostek graniczny pyrzyckiego powiatu.

— Z powrotem! Trzeba cofnąć się do tego rzepaku. Tam powinien być drogowskaz na Kobylankę. Kolbacz przecie leży jeszcze w gryfińskim powiecie.

Za chwilę widać gotycki, ceglany kościół. Ma zarys łacińskiego krzyża, szkoda tylko, że spina go okropna drewniana sygnaturka.

— No, tam będą te romańskie kolumny. Podobno są rzeźbione w motywy roślinne albo figuralne.

Wydobycie klucza od sołtysa nie trwa długo. Duży to klucz. Wróży starożytnie.

Zaraz za łukiem odrzwi stoi kropielnica. Kościół jest czynny. Trzy ramiona krzyża są przed nami. Żebrowania wspinają się wysoko. Z białego tynku górnie wychodzą ceglane linie. Od szerokości okien jasno, przestronnie. Sam gotyk. Kolumn romańskich ani śladu... Szybko obchodzę każdy kąt. Ani cienia. Nic do wykrycia. Chór wisi wysoko. Gdzież te kolumny? Przecie muszą być! Kto by się łakomił na ciężkie, niezdarne kamienie. Kolumn jednak nie ma.

Rzucam wszystko i wybiegam ku najdłuższemu ramieniu krzyża. Ta część wyraźnie najstarsza, tworzona z pierwszej, powszedniej potrzeby, jeszcze bez wykwintu odświętnego piękna. Tu — okazuje się — jest... śpichrz! Część w ogóle otwarta, pełna śmieci i kurzu, część istotnie zwyczajny śpichrz. Kilka kondygnacji, zwykłe urządzenia. Kolumn definitywnie nie ma. Mało, administrator państwowego majątku zaklina się, że jest tu od początku i nie tylko kolumn żadnych nie widział, ale nawet od Niemców o nich nie słyszał.

Nie ma ich też w stodole, która stoi opodal na podwórzu gospodarstwa, w stodole niezwykłej, murowanej, gotyckiej stodole, ceglanej, z łukami, pobielonej, z murami wygiętymi od starości. Tak osobliwie „kościelnej“ stodoły nie ma chyba żaden majątek. Pocysterska widać. Po prostu zostało wiele cegieł po hojnie ufundowanym kościele i zakonnym budynku. Ale i tu kolumn nie ma.

Owo to długie ramię krzyża jest dawnym mniszym mieszkaniem. Barbarzyństwo, bo chyba nie ma na to innego słowa, obróciło „bezużyteczne“ skrzydło klasztorne w śpichrz. Nawet nie zawahano się wybić okien w ścianach zabytkowej budowli. Są praktyczne, proste, śpichrzowo-konieczne. Rażą potworną nowością obramowań młodej cegły. Kiedyż to mogło się stać? W XX wieku? Nie do wiary! Czy to istotnie w zachodniej Europie, w kraju kultury?

Czy to jacyś bezmyślni pionierzy? Nie. Niemcy. I do tego przed wojną. Nie do wiary! A jednak. Wtedy to wyrąbano przysadziste, odwieczne kolumny.

Brutalne lutry wykorzeniały po-klasztorność katolicką. Kolumny wywieziono niechybnie.

Więc po to jechało się szukać, aby tak chybić. Zaraz wracałbym: sprawdzić czy gdzie w ogóle są? Czy gdzieś zainwentaryzowane? Nie, jednak warto zobaczyć choć gołe miejsce, skąd prawie współcześnie wyrywano owe pomniki, w XII wieku krzewionego tu chrześcijaństwa. Tu pewno stały. O, tu, w refektarzu jakim, czy w kaplicy mniejszej i starszej od obecnego kościoła. Jeszcze ich nie przerosła wtedy strzelistość stylu, przyniesionego z słonecznej Francji, a rozpowszechnionego cegłą po europejskiej krainie wielkich, bezkamiennych dolin.

Na tej śpichrzowej stronie jakby pieczęć finalna na końcu ramienia krzyżowej budowli, wysoko, pod tympanonem, wpisana weń szeroko, rysuje się lekka rozeta. Nie jest to nawet okno, jeno surowy rysunek cegłą na cegle. Jakież one wtedy były: wyższe i szersze od współczesnych. Szeroko, jak spracowane dłonie, kładziono je na siebie. Szczerze, prosto, a coraz wyniośle j w spiętrzeniu.

— Ale kolumn nie ma — tkwi w mózgu bolesne wrażenie.

Już tylko dla porządku ponownie wstąpiliśmy do kościoła. Oczy nie przyjmują po prostu żadnego namiastkowego widoku.

Nawet nie cieszą nas czereśnie w pełni rozkwitu nad szosą ku Kobylance. Wracaliśmy w milczeniu.

A w tę niedzielę, kiedy otwierano Muzeum w Szczecinie, pod wspaniałym Chrystusem z Kamienia — stały!

Trudno nie oglądać ich bez wzruszenia. Najstarsze artystyczne kamienie, najstarsze po przepadłych Światowidach i Trzygłowach... Choć obcą zapewne rzeźbione ręką, choć obce głosi imiona lista opatów cysterskich od samego założenia, przecież wśród tych krzewicieli rolnictwa na pewno byli i swojacy. Jeżeli nie rzeźbili, to w każdym razie Warcisław, syn Świętobora, nieszczęsny kasztelan szczeciński, płacił za nie, a lud, przed pół wiekiem nawrócony, czerpał z wizerunków tych kolumn etyczne nauki i cieszył się groteską jednej z nich.

Bo i dziś tę właśnie kolumnę oglądają najciekawiej. Opata Marcina czart za kaptur wlecze na potępienie. Żarłok był i — wbrew regułom — rozpustnik. Nie wystarczała mu sieja, ryba znakomita, którą z niedalekiego jeziora Miedwie przynosili mu słowiańscy rybacy. Sieja tylko w tym jeziorze bytuje. Nie masz jej w całym księstwie pomorskim. Ryba stołów najdostojniejszych godna. I tego Marcinowi było mało. Czarcim pazurem znaczona jest na łusce. Wiodła na dalsze pokuszenie.

Opat wszystkim swoim namiętnościom zadość uczynił raz urągliwie w sam Wielki Piątek. Umarł po tym nagle. Gdzież miał być prowadzony, mimo świętobliwej maski kaptura?

Morał wyryto w kamieniu.

Trwa do dziś.

Podziwiamy plastykę rzeźb, wyraz ich i charakter. Zaginęło imię artysty.

Był napewno jednym z mnichów duńskich, sprowadzonych z Esrom, z wyspy Zeland, z „lądu śródmorskiego“ Danów, z którymi przecie niezbyt daleko żyło się wtedy na wspólnym Bałtyku. Zapewne kute były na miejscu. Któżby woził takie ciężary! Wodą do tego. Szwedzkiego piaskowca dość leżało po polach. Naniósł go przecie lodowiec. Był marmurem bałtyckim, grubym dyktatorem artyzmu. Od stąpienia na ziemię darowaną czasu w klasztornym życiu było dość.

Samo dzieło było najprzyjemniejszą modlitwą, a uwiecznianie brewerii występnego opata uśmiechem wśród pracy, uśmiechem, w którym mieści się równocześnie trochę wielkodusznego pobłażania.

Ale jak do tego doszło?

Była to oczywiście ciekawa historia. Historyczności pełne wydarzenia leżą u podstaw kolumn kolbackich. Historia tych czasów, jak wiemy — to wojny.

Danowie zdawna bali się Słowian. Byli przedmiotem ich zwycięskich, łupieskich wypraw. W Roeskilde (jakby w duńskim Gnieźnie) powstał nawet rodzaj bractwa zakonnego, mający bronić przed Słowianami. Dania była w rozbiciu, z którego bitwą pod Gratheheide (1157 r.) wywiódł ją ku zjednoczeniu król Waldemar I Wielki (z domu Estridsonów).

Odtąd zaczął się wiek duński Bałtyku.

Śledzie wówczas odpływały od Rugii, ubożąc ją i niewytłumaczalnie dały się łowić u duńskich właśnie brzegów. To zapewne dało bogactwo do wojen: taki kaprys śledzi.

Zrazu, gdy Waldemar odwetowo wywiódł swoją zjednoczoną flotę (r. 1158) ku czołowym wrogom, Słowianom, strach w jej załogach był tak wielki, że król musiał... zawrócić.

Waldemar uparcie jednak chciał dosięgnąć Słowian w ich siedzibach: na Rugii i na Pomorzu. Jeszcze raz (r. 1159) flota duńska z czystego strachu zawróciła, nie dotarłszy do białej wyspy, gdzie stała Arkona. Król nałamywał swój rybacki naród. Tegoż jeszcze roku wymógł drugą wyprawę. Zaskoczono mieszkańców pomorskiej ziemi Bardo. Ci — od lat bezpieczni — myśleli, że nadjeżdżają ich właśni książęta — jak pisze Saxo Gramaticus — bo któżby inny?

Na wracających z łupami, Danów, odwetowo czatowali Ranowie z Rugii, ale tym udało się wymknąć.

Duńczycy, zachęceni, jeszcze tegoż roku z powodzeniem napadli i brzeg rugijski (półwysep witowski pod Arkoną).

Zaczyna się agresja. Już nie odstraszenie Słowian jest celem wypraw. Dania wraz z naporem saskim staje się czynnikiem, stopniowo wyrywającym Słowianom ich odwieczne ziemie.

Waldemar i jego oświecony wódz, biskup Absalon, zawisają nad pomorskimi ludami.

Już w r. 1160 poseł rański, Domabor, zapobiega nowej wyprawie duńskiej na Rugię. Współcześnie książę saski, Henryk Lew, powróciwszy z wojny italskiej, rozbija państwo obodryckie Niklota, którego synowie już tylko na cząstkach ziemi ojca utrzymują się jako lennicy. Książę Niklot zginął w katastrofalnej swej bitwie.

Współdziałanie sasko-duńskie zaczyna teraz przeważać nad Słowianami. Powstania obodryckie i walki poszczególnych plemion pomorskich nie dają jednak należytego skutku. Dania staje wówczas u ujścia Piany (r. 1164). Takie okrążenie wyspy Rugii i wytrącenie poszczególnych książąt słowiańskich z jednolitego frontu przeciw najeźdźcom doprowadza do ostatecznego upadku Arkony. Zdobyta, złupiona stolica Świętowita (1168 r.). Niezwykłej wielkości barwna chorągiew, stanica Arkony, ani tarcza wojowniczego boga nie dały zwycięstwa. Rzeźbiony, przewyższający wszelki ludzki wzrost posąg obalono. Skarbiec pogaństwa zagrabiono. Ostatni pogańscy Słowianie zostali nawróceni.

Teraz Rugia, którą chrześcijańscy książęta pomorscy pomogli zdobyć, stała się bazą wypadków duńskich przeciw nim samym. Opamiętali się wprawdzie. Sami pochwycili inicjatywę wojenną. Flota słowiańska znowu łupi półwysep duński. Pianoujście jest o tyle znowu w ręku Słowian, że odwetowe wyprawy duńskie muszą manewrować przez Świnioujście. Napady wroga idą oskrzydleniem od Zalewu na Wołyń i Kamień. W matnię tu wpada cała flota napastników (r. 1170). Nawet są ślady pomocy saskiej przeciw Duńczykom.

Ważą się interesy polityczne i ekonomiczne, wpływy, związki, siła bezpośrednia, duch bojowy wojowników. Słowianie zdają się górować i dopiero trzeba nowego sprzęgnięcia się sasko-duńskiego, aby Waldemar za swoim zdobywczym biskupem znów z potęgą wpadli na trójramienne ujście Odry.

Pianoujście było zatarasowane palami i głazami. Duńczycy przez Świnioujście dobrali się do tyłów wyspy uznamskiej i spustoszyli Ziemię Kamieńską.

Była to piękna wiosna r. 1173.

Warcisław Świętoborzyc, krewny książąt pomorskich, ich kasztelan na grodzie szczecińskim, ujrzał całą moc duńską, co spłynęła przeciw niemu. Odrą pod częstokoły wlała się wroga flota.

Syn Świętobora przyjął pierwszy napad na swoje silne częstokoły. Wroga odparto.

Nie była to wyprawa krzyżowa, bo od Krzywoustowej chrystianizacji (1124) nie było tu już bogów. Nawet 50-letni ludzie nie pamiętali już ich świątyń. Chodziło o łup, zwykły zabór.

Trudno wiedzieć, co pokierowało Świętoborzycem? Kto wpływał? Kasztelan postanowił ułożyć się. Sam wyszedł na rokowania.

Odwrócił niepewne losy zmagań przystojną grzywną, dał zakładników, gród samże dostał w dalsze dzierżenie, jako lenno króla Waldemara, wreszcie przystał w swoich własnych dobrach rodowych, blisko miedwieńskiego jeziora, wystawić klasztor O. O. Cystersów, biorąc doń duńskich mnichów z opactwa w Esröm.

Była to pozornie świeczka pobożności obojga układających się stron, ale w Kolbaczu zagnieździła się zadra Waldemarowej przewagi, owej świeżej wiosny 1173 roku.

Duńczycy nie byli wcale tak pewni siebie, bo oto Polska w osobie księcia wielkopolskiego, Mieszka Starego, niosła posiłki swego zainteresowania Krzywoustowym dziedzictwem. Ważą się ciągle wpływy sasko-duńskie, Polski i Rzeszy.

Może Świętoborzyc swoich duńskich mnichów „odstąpił“ już w którymś z lat najbliższych księciu Pomorza Wschodniego, Subisławowi, bo skąd by aż 12 z nich założyć mogło klasztor w Oliwie? W każdym razie pozbył się ich choć w części.

Świętoborzyc staje się zapamiętałym wrogiem Danii. Tak go bolało owo upokorzenie z pamiętnej wiosny... Mnichom zresztą dał ziemię zaledwie średnią, choć miał z drugiej strony jeziora taką, co tylko pszenicę siać...

Mimo rozbicia dzielnicowego, Polska jest pewnym oparciem dla książąt pomorskich, oscylujących wśród swoich wrogów. Uczą się zręczności i gry państwowej. Biorą za żony Piastówny, Mieszka Starego córki, naprzód Racibor jedną, a ojciec jego, Bogusław, owdowiawszy, — drugą (r. 1174—77). Mszczuj gdański bierze trzecią siostrę, Zwinisławę, syn Mieszkowy, Władysław Laskonogi, poślubia córkę Jaromira rańskiego, a Bolesław kujawski córkę Bogusława Raciborzyca, księcia na Sławnie. Szerokim więc frontem związków dynastycznych, od Gdańska po Rugię, Polska podbudowuje wtedy powrót swych zainteresowań bałtyckich.

Mimo, że po śmierci Waldemara (1182 r.), król Kanut — po pobiciu floty pomorskiej z 447 okrętów przez Absalona (r. 1184) — zwycięską wojną wymusza hołd Bogusława I Pomorskiego (Wielkanoc roku 1186) w Roeskidzie i każe mu nieść przed sobą miecz jako przed panem lennym — przecież od Polski wygląda się odsieczy.

Może to ów hołd Bogusława powoduje osobiste przybycie Władysława Laskonogiego. Wije się wśród tego nicią buntu przeciwduńskiego Warcisław Świętoborzyc, krewny książęcy. On to staje na czele przygotowań do wybuchu przeciw Kanutowi. Sam Mieszkowic Laskonogi składał to z nim w samotności jakiejś komnaty bogusławowego zamku.

Wśród tego umiera ks. Bogusław. Zgon to nagły w sośnickim borze koło Uznamia-grodu. Przedśmiertnie książę miał zobowiązać swych poddanych do utrzymania zgody duńskiej. Z jakąże burzą w sercu Świętoborzyc musiał stanąć z wdową, Piastówną Anastazją, i nieletnim, Bogusławem oraz Kazimierzem w Wordingborch przed Kanutem, wziął jednak pierwsze miejsce („vicedominus terrae“) wśród panów pomorskich, którym zdano opiekę nad lennem i młodocianymi jego dziedzicami. Był zresztą najstarszym z rodu.

Ledwie wrócili z morza — zerwano z Danią. Tak postanowił więc panów pomorskich. Ku Polsce, ku Polsce były obrócone oczy!

Dwa lata tego było tylko.

Kanut przedsięwziął nową wyprawę. Chyba Warcisław Świętoborzyc dowodzi obroną. Tym razem (r. 1189) Szczecin zdobyto. Zniszczono gród. Jaromir z Rugii dostał tu lenno kanutowe. Minęło 16 lat walki Warcisława z Danami od jednej obrony Szczecina do drugiej.

Przegrał Świętoborzyc, duch zadziorności przeciw-duńskiej, zapamiętały bojownik o samodzielność pomorską, przyjaciel Polski.

Wart jest nazwy ulicy w Szczecinie.

A jego klasztor?

Sądzić należy, że nienawiść do Danów łagodniała w nim od świadomości zbożnego czynu.

Cystersi szerzyli uprawę roli. Sprowadzono ciężkie duńskie konie, z których ów kraj zaczął słynąć. Było może podobnie, jak w niedawnych czasach UNRR-y.

Klasztor — z ogólnym wówczas zgermanizowaniem pomorskiego kleru i upadkiem dominacji duńskiej na Bałtyku (r. 1224) — zniemczał. Eksterytorialni opaci cysterscy rządzili tu 362 lata. Z luteranizacją (1535 r.) książęta Gryfici Pomorscy — których krewnym był Świętoborzyc — odebrali na rzecz swoją dar, wymuszony przez okręty, co nadpływały z Danii.

Dzierżyli Kalbacz jeszcze 102 lata. Po wygaśnięciu książąt-autochtonów zapewne królewsko-szwedzka dominacja, a w końcu skarb pruski przez ostatnie 130 lat.

Tego roku w maju szczególnie pięknie ku klasztornemu gotykowi podchodził złocistą płachtą rzepak, kwitnący w słońcu.

Ucieszyłby się Świętoborzyc z tej innej wiosny — przecież jego niepodległa zadziorność doczekała wygranej. Państwowy majątek otacza dziś stary rolniczy klasztor, któremu przymusowy fundator nie dał najlepszej z swych ziem. Mieszała się w nim poniewolna bogobojność z wrącą nienawiścią do napastnika, który do niedawna ani się ważył wytknąć nosa na dalsze morze.

Tak oto Danów rozzuchwaliły śledzie, które odpłynęły ku nim od pomorskich brzegów. One to zapewne stały się podstawą ekspansji duńskiej i wrzepienia filii z Esröm w kolbacki grunt.

Tak ryby wiją się wkoło tego klasztoru: morskie ławice śledziowe i jeziorna sieja, znaczona pazurem czarta.

Uśmiechnął się teraz Świętoborzyc:

— Jego klasztor z tajemniczego i groźnego kaprysu śledzi.

Nie pomyślał nawet o tym...

Jarosław Rogala

Oczy na Szczecin

Powoli ale systematycznie przesuwa się punkt zainteresowań Ziemiami Odzyskanymi z południa na północ. Do niedawna pełną i zasłużoną sławą cieszył się wyłącznie Dolny Śląsk z Wrocławiem i turystycznym obrazem jeleniogórskim jako centrami. Wałbrzych mimo warunków, jakie posiada jako miasto uprzemysłowione, druga obok Katowic stolica węglowa Polski, po dziś dzień nie uzyskał w kręgu zainteresowań polskich tego miejsca, które mu się należy. Od pewnego czasu Szczecin wchodzi w psychikę polską jako druga po Wrocławiu stolica Ziem Odzyskanych. Zainteresowanie to potwierdziła także uchwała Związku Zaw. Lit. Polskich, który na dzień 20 stycznia br. wyznaczył do Szczecina swój doroczny Zjazd Delegatów. — Na zdjęciu łódź słowiańska z XI wieku w Rotundzie Szczecina na Wystawie Ziem Odzyskanych

Fot. W. Kondracki

STEFAN ZWEIG

Treny ojczyste

Podróżować i to nawet daleko podróżować pod inne gwiazdy i w inne światy nie oznaczało uciec od Europy i od troski o Europę. Wydaje się to być omal złośliwą zemstą natury na człowieku, że wszystkie zdobycze techniki, dzięki którym wydziera on jej wszelkie tajemnice, zakłócają równocześnie spokój jego ducha. Nie ma dla nas gorszego przekleństwa techniki ponad to, że nie pozwoli nam ona nawet na małą chwilę uciec od teraźniejszości. Dawniejsze pokolenia mogły w czasach katastrofy uciec w ciche ustronia samotności; dopiero nas zmuszono wiedzieć i współodczuwać w jednej i tej samej godzinie i sekundzie wszystko, cokolwiek złego dzieje się na naszym globie. Dokądkolwiek bądź nie uszedłem od Europy, los jej szedł wraz ze mną. Wysiadając nocą w Pernambuco, z Krzyżem Południa nad głową, wśród ciemnowłosych ludzi na ulicach, widziałem rozlepione wiadomości o bombardowaniu Barcelony i rozstrzelaniu hiszpańskiego przyjaciela, z którym jeszcze przed kilkoma miesiącami spędzałem wspólnie małe godziny. W Texas, między Houston i jednym z miast naftowych, siedząc w pullmanowskim wagonie usłyszałem nagle jak ktoś szalejąc krzyczał mocno po niemiecku: jakiś nieznany współpasażer nastawił radio na fale Niemiec i musiałem oto, jadąc w pociągu przez równiny Texasu, wysłuchiwać zapalnej mowy Hitlera. Nie było ucieczki, ani dniem, ani nocą; ciągle z bolesną troską musiałem myśleć o Europie, a w obrębie Europy ciągle o Austrii.

Wiedziałem wszakże, że los całej Europy związany był z tym małym krajem — przypadkowo moją ojczyzną. Gdy spoglądając wstecz, próbuje się wykazać błędy polityki po pierwszej wojnie światowej, za największy z nich trzeba uznać zaprzepaszczenie zarówno przez europejskich, jak i amerykańskich polityków jasnego, prostego planu Wilsona. Jego ideą było danie małym narodom wolności i samodzielności. lecz rozumiał on dobrze, że wolność i samodzielność mogłyby się utrzymać jedynie przez związanie się małych i wielkich narodów w uporządkowanej nadrzędnie jedności. Skoro więc nie stworzono tej uporządkowanej nadrzędnie organizacji — tego rzeczywistego całkowitego związku narodów, a urzeczywistniono jedynie część jego programu: — samodzielność małych narodów, narodził się zamiast pokoju stały niepokój.

Nie ma bowiem nic niebezpieczniejszego, niż dążenie małych do potęgi i pierwszą rzeczą małych państw tuż po ich powstaniu było knucie wzajemnych intryg i kłótnie o drobniutkie skrawki ziemi Polaków z Czechami, Węgrów z Rumunami, Bułgarów z Serbami, a jako najmniejsze ze wszystkich w tych rywalizujących stało drobne państwo Austrii przeciwko przemożnym Niemcom.

Ten rozdrobniony, okaleczony, władający niegdyś Europą kraj był, jak to ciągle muszę powtarzać, kamieniem w murze. Widziałem to, czego wszyscy ci ludzie w milionowym mieście Anglii (Londynie — prz. tłum.) nie mogli pojąć, że z Austrią paść musi Czechosłowacja, a wtedy otworzą się dla Hitlera Bałkany, że z Wiedniem dzięki jego specyficznej strukturze dostanie się w twarde ręce narodowego socjalizmu dźwig, którym poruszy on całą Europę i będzie mógł wyważyć ją z łożysk. Tylko my Austriacy wiedzieliśmy z jaką pobudliwością pobudzaną przez ressentiment, ciągnie Hitler do Wiednia, miasta, które widziało go w dniach jego najniższej nędzy, a do którego pragnął wjechać jako triumfator. Toteż ilekroć po krótkim pobycie w Austrii przekraczałem z powrotem jej granice, oddychałem z ulgą: „Tym razem jeszcze nie“ i oglądałem się jak by to było po raz ostatni. Widziałem zbliżającą się katastrofę, nieodwracalną; sto razy każdego ranka w owe lata, gdy inni sięgali w zaufaniu po gazetę, trwożyłem się wewnętrznie na myśl o wstrząsającej wiadomości: Finis Austriae. Ach, jak ja siebie oszukiwałem kłamiąc sobie samemu, że już dawno uwolniłem się od jej losu. Przeżywałem w dalekości dzień w dzień jej powolną i gorączkową agonię — nieskończenie więcej, niż moi przyjaciele w kraju, gdzie oszukiwali się oni patriotycznymi demonstracjami i gdzie jeden drugiego zapewniał codziennie: „Francja i Anglia nie pozwolą nam upaść. A przede wszystkim Mussolini nigdy do tego nie dopuści“. Wierzyli w Ligę Narodów, w traktaty pokojowe jak chory w lekarstwo z piękną etykietą. Żyli beztrosko i szczęśliwie, gdy ja, lepiej widząc, raniłem swoje serce.

Również moja ostatnia podróż do Austrii nie była niczym innym uzasadniona, jak właśnie owym spontanicznym wybuchem wewnętrznej trwogi przed coraz bardziej zbliżającą się katastrofą.

Jesienią 1937 roku byłem w Wiedniu w odwiedzinach u mojej starej matki i nie miałem potrzeby pozostawać tam dłużej; nic pilnego mnie tam nie wołało.

Przyjaciele moi byli zdumieni tak szybkim i tak niespodziewanym powrotem. Ale jakżeż oni mnie wyśmiewali, gdy napomykałem o mojej trosce; ciągle jeszcze jesteś starym „Jeremiaszem“, drwili ze mnie. Czyż nie wiem, że całe społeczeństwo austriackie stoi obecnie w stu procentach za Schuschniggiem? Sławili szczegółowo wspaniałe demonstracje „Ojczystego Frontu“, ale ja już w Salzburgu spostrzegłem, że większość demonstrantów nosiła przepisane odznaki w klapie marynarki tylko na pokaz, by nie utracić posad, równocześnie jednak już od dawna zapisani byli na wszelki wypadek do narodowo-socjalistycznej partii w Monachium — zbyt długo studiowałem historię i pisałem, aby nie wiedzieć, że wielka masa zawsze po tej toczy się stronie, gdzie spoczywa ciężar chwilowej siły. Wiedziałem, że te same głosy, które dziś krzyczą „Heil Schuschnigg“, jutro wołać będą „Heil Hitler“. Lecz wszyscy, z którymi rozmawiałem w Wiedniu, wykazywali czcigodną beztroskę. Zapraszali się we frakach i w smokingach na wieczorynki (nie przeczuwając, że rychło przyodzieją się w pasiaki obozów koncentracyjnych), obiegali sklepy za sprawunkami świątecznymi dla swoich pięknych domów (nie przeczuwając, że w kilka miesięcy później zabierze się im i splądruje te domy).

I ta wieczna beztroska starego Wiednia, którą przed tym tak kochałem i które rozpominałem właściwie całe moje życie, że ta beztroska którą narodowy poeta Wiednia, Anzelgruber, tak trafnie sformułował: „Nic ci się nie może wydarzyć“, że po raz pierwszy sprawiła mi ona ból.

Może jednak w ostatecznym sensie byli oni mądrzejsi ode mnie, ci moi przyjaciele w Wiedniu, ponieważ cierpieli dopiero wówczas, gdy cierpienie rzeczywiście nadeszło, gdy tymczasem ja przeżywałem nieszczęście naprzód, w wyobrażeniach, aby potem przeżyć je jeszcze po raz drugi.

Zresztą — nie rozumiałem ich już i nie mogłem się z nimi porozumieć. Po upływie dwóch dni nie ostrzegałem nikogo. Po co niepokoić ludzi, którzy nie pragną być niepokojeni?

Lecz nie uważajcie tego za spóźnioną ozdobę stylistyczną, lecz za najprawdziwszą prawdę, jeśli powiem, że w tych dwóch ostatnich dniach w Wiedniu oglądałem troskliwie każdą znaną mi ulicę, każdy kościół, każdy ogród, każdy stary zaułek miasta, w których się wychowałem, z rozpaczliwym, głuchym „nigdy więcej“. Objąłem moją matkę z owym tajemnym „to już ostatni raz“. Wszystko w tym mieście, wszystko w tym kraju odczuwałem z tym „nigdy więcej“, ze świadomością pożegnania, pożegnania na zawsze.

Koło Salzburga, miasta, gdzie stał mój dom, w którym pracowałem przez lat dwadzieścia, przejechałem nie wysiadłszy nawet na stacji. Mogłem wprawdzie widzieć z okna wagonu mój dom na wzgórku ze wszystkimi wspomnieniami odeszłych lat. Lecz nie patrzyłem tam. Bo po co? — już nigdy przecież tam nie zamieszkam. I w chwili, gdy pociąg mijał granicę, wiedziałem, jak ów praojciec biblijny Lot, że wszystko poza mną było kurzem i popiołem, zastygłą w gorzką sól przeszłością.

Myślałem nieraz, przeczuwając wszystko najgorsze, co stałby się mogło, gdyby spełnił się opętańczy sen Hitlera i Wiedeń, miasto, które odepchnęło go niegdyś jako młodego człowieka w nędzy i niepowodzeniu, zająłby jako triumfator. Lecz jakże nieśmiała, jak mała, jak żałosna okazała się moja, okazała się każda ludzka fantazja w porównaniu z okrucieństwem które wyładowało się 13 marca 1938 roku, w dniu, kiedy Austria i wraz z nią Europa uległa nagiej przemocy.

Teraz odpadła maska. Ponieważ inne narody otwarcie pokazały swoją bojaźń, brutalność nie potrzebowała krępować się moralnymi hamulcami, nie posługiwała się więcej — cóż znaczyła jeszcze Anglia, co Francja, co świat? — żadnym z obłudnych pozorów „marksistów“, którzy politycznie zostali całkowicie

(Dokończenie na stronie 2)

ZOFIA BOLECHOWSKA

Z miasta lasów do miasta czerwonej cegły

Notatki osadniczki czyli próba poznania

W swoim mieście zazwyczaj znamy wszystko tak dokładnie i tak dobrze, że nie zauważamy w nim nic niezwykłego. Wszystko jest i było takie same zawsze, odkąd tylko możemy sięgnąć pamięcią. Chyba na całym świecie musi być tak samo. I choć wiemy o nim wszystko, zastanawialibyśmy się długo, gdyby nam przyszło coś o nim napisać.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o „cudze“ miasto, do którego pierwszy raz przyjeżdżamy. Po przyjeździe do „cudzego“ miasta i moje oczy pełne były przeróżnych dziwów. Mała dygresja! Czy muszę tłumaczyć wartość słów ‚cudze“ i „swoje“ użytych w tym opowiadaniu w najciaśniejszym tego słowa znaczeniu? Czy muszę rozwodzić się nad tym, że nic w Polsce nie jest dla mnie cudze? Chyba nie. Wracam więc do Orzegowa, bo tu właśnie przywędrowałam z dalekiego miasta, może z dalekiej wsi, zagrzebanej w lasach i małymi szybkami chat patrzącej na zmienne wody jeziora. Nie moja wina, że tam w lasach było pięknie i wobec tego zgnębiona byłam beznadziejną brzydotą domów z czerwonej i żółtej cegły. Widziałam kiedyś dom pod Ostrołęką, zbudowany na piaszczystej wydmie. Za budulec służyła stara, zardzewiała blacha i skrzynki drewniane, zamiast komina sterczało triumfalnie wiadro bez dna. Ta dziura miała jednak pewien tragiczny urok. Ale cegła! Ceglane szkaradzieństwa przejmują mnie grozą.

Zrobiło mi się bardzo przykro i żal ludzi, którzy mieszkają w takich ciemnych domach. Wkrótce zobaczyłam „białego“ psa, „białą“ kurę i gęś. Zaraz przekonałam swoje zmartwione oko, że przecież takie „białe“ domy wyglądałyby równie uroczo jak te biedne zwierzęta. Nie zastanawiałam się już dłużej nad kwestią wyboru budulca, zobaczyłam bowiem starannie utrzymany skwer. Piękne płaczące złote wierzby, róże, trawniki dobrze się prezentujące, czyste ścieżki. Odkryłam również spory, dziki park położony w wąwozie, bardzo malowniczy i miły. Najpiękniejsze są w nim koralowe bzy i stare dęby, no nie takie najstarsze, ale o dębach tak się zwykle mówi. Park ten ma mnóstwo nazw, najzabawniejsza z nich to Remiza. W lecie wieczorem Remiza pełna jest gruchających parek, w dzień roi się od wózków z dziećmi.

Zieleń na Śląsku sprawiła mi miłą niespodziankę. Tyle się nasłuchałam o jej czarności, spodziewałam się zobaczyć okropne mizeractwo. Tymczasem wcale tak nie jest. Zieleń soczysta, żywa. A jak dbają tu o nią. Dowodem dbałości nie są jedynie skwerki i parki, ale także ogródki robotnicze. Małe ogródeczki przeważnie bardzo starannie utrzymane, czyściutkie, wyzyskane. Podobały mi się ogromnie i często chodziłam koło nich zaglądając przez siatkę lub nawet wtykając tam nos. Znam z widzenia jednego górnika, który cały prawie czas po powrocie z pracy spędza w ogródku. Jest tam wszystko, i drzewka i warzywa i kwiaty, nawet specjalne miododajne rośliny dla pszczół. Ma parę pni. Pień to znaczy jakikolwiek ul z pszczołami. W altance wychował całe stadko kurcząt, leghornów, nie zupełnie są rasowe, widać mama kura popełniła jakiś mezalians, ale są zupełnie czyste, białe!

Dym. Właściwie dym zobaczyłam najpierw, już z wagonu, jeszcze przed Orzegowem. Walił z kominów, przesłaniając krajobraz jakby mgłą. Dodawał mu tajemniczości i sprawiał, że kominy hut i kopalń, wieże i szyby stawały się uduchowione, widmowe. Przy bliższym poznaniu okazał sie o wiele mniej strawnym od niewinnych cegieł. Brudzi tak niemiłosiernie i tak ciężko nim oddychać.

Zakopcony i zadymiony Orzegów jest jednak bardziej czysty od dalekiego miasta z lasów. I tu wiatr znajdzie coś niecoś do podrzucania na ulicy, ale tam! Zawstydź się kochane miasto dalekie i popraw. I przepraszam cię, przepraszam, ale muszę mówić prawdę. Ulice tu są czystsze, i podwórka, oraz schody w kamienicach. Porządnie i czysto jest w mieszkaniach. Jest tam wiele rzeczy okropnie zabawnych, np. całe komplety dzbanków i słoików z przykrywkami i napisami Cukier lub Zucker, Gries, Korzenie, Sól. Otóż te komplety stoją tak wysoko, że chyba tylko żyrafa mogłaby się nimi posługiwać. Ale kuchnia czyściutka, biały kredens naprawdę biały, podłoga pastowana. W pokoju czy pokojach widać, że gospodyni chociaż ma gust niewyrobiony i niewybredny, pragnie uczynić swe mieszkanie ładnym i miłym.

O cegłach pomogła mi zapomnieć żywa dekoracja kamienic, mianowicie głowy, główki i łebki w oknach. Wielu wyglądających opierało się o poduszki, dywaniki, chusty specjalnie w tym celu ułożone w oknie. Wyglądanie nie było więc spontaniczne, lecz celowe i długotrwałe. Całe lato i kawał jesieni miałam z tego powodu nie byle jaką uciechę. Żałuję, że zimna wykańczają najzajadlejszych okienników. Nie mogłam zrozumieć czemu przypatrują się godzinami głowy i główki. Łatwiej było zobaczyć coś ciekawego chodząc tu i tam, niż czekając w oknie aż coś raczy pod nim przejść lub przejechać. Przechodzili bardzo rzadko bladzi, drobni ludzie. Przejeżdżały od czasu do czasu różne pojazdy: ciężarowe auto, kareta w parę koni, mały samochód i najczęściej ręczne wózki. Wózki na wzór dużych wozów w deskach lub drabinach. Ciągną je kobiety, mężczyźni, dzieci. Raz nawet na uroczystości strażackiej widziałam zaprzągniętą do wózka kozę. Wozi się na nich wszystko — siano, słomę, drzewo, prosięta z targu, sprawunki z miasta, kartofle, warzywa. Ale prawdziwy entuzjazm odczułam na widok dzieciaków zjeżdżających z górek. Siada sobie taki obywatel na wózek, dyszel w ręce, nogi na sznicę i jazda. Widziałam wychodzących z kopalni górników. Szła ich cała fala, wielu młodych, bardzo młodych. Coś mnie zaniepokoiło, nie mogłam zdać sobie sprawy, co mnie tak zaszkoczyło. Po chwili dopiero zorientowałam się: — cisza. Tłum poprzedza zazwyczaj gwar. Tu chwilami słychać było zaledwie szmer, przeważnie panowała cisza. Cała ta ludzka fala szła w milczeniu. Spieszyli. Zrzadka słychać było rozmowę. Nikt się nie śmiał, nie śpiewał, nie wołał głośno na drugiego. Gdyby tak w dalekiej wiosce z lasu spotkało się tylu młodych chłopców, tylu mężczyzn choćby najstarszych, o 10 kilometrów słychać by było śmiech, śpiew, pokrzykiwanie, żarty i docinki, choćby od kosy wracali umęczeni. Patrzę pilnie na idących. Teraz dziwię się i podziwiam, gdy słyszę śpiew w świetlicy orzegowskiej.

Przyjemnie jest wracać do Orzegowa wieczorem. Przyjemnie i trochę niepokojąco. Jak okiem sięgnąć — światła. Zdaje ci się, że wielkim pierścieniem otacza cię miasto i błyska ku tobie wesoło jasnymi światłami. Po ciemnych cięciwach dróg suną wielkie świętojańskie robaczki — to tramwaje. W środku Orzegów. Jarzy się kopalnia „Karol“, znana ze swych zwycięstw w pracy. Teraz jest piękna wśród świateł i cieniów. Głowa jej — szyby i kominy — rysuje się dumnie na niebie.

Z poza dachów kamienic bucha ruchliwa przygasająca i rozżarzająca się pomarańczowo-złota łuna. Łuna niepokoi i przyciąga. Rozsunęły się dachy, wyłonił się snop płomieni w pęk ujęty wylotem wysokim, ciemnym. Nagłe ukłucie w sercu, aż do bólu i wspomnienie wstrętne wstaje. Brzezinki... kominy krematorium... Chwytam za rękę towarzysza.

Co to?

Koksownia.

Jeszcze nie mogę się uspokoić. Ale wnet wstaje wolą kierowana myśl: „Przypatrz się. To piękne! Świeci jak pochodnia wielka, żywa, wspaniała. Patrz jak się mieni. Tam wre praca.“

Trwogą napełniał mnie widok popękanych domów, z których usunięto mieszkańców. Stałam przed nimi długo i gapiłam się. Kilka razy chodziłam oglądać te domy. Zawsze doznawałam niezwykłych uczuć niepokoju, lęku, jakiejś niesamowitości, czegoś co mnie przykuwało do miejsca i zarazem wołało — uciekaj! Nie umiem nawet w przybliżeniu określić tych uczuć. Stałam. Niektóre pęknięcia schodziły się, malały, za to w innym miejscu wykrzywiła się ściana, wylazła na wierzch okienna futryna. Zapada się. „To kopalnia, kopalnia, powtarzałam sobie w myśli. U nas tak często — słyszałam.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam wypchnięte z chodnika do góry dwie betonowe płyty, zatrzymałam się. Co to? Wygląda jakby ktoś chciał budować domki z kart, używając do tego zamiast kart, betonowych płyt. Powiedziano mi, że to kopalnia tak się bawi. Długo z zabobonnym wprost lękiem omijałam te miejsca, nim się w końcu do nich przyzwyczaiłam. A potem odczułam wstrząsy. Myślałam, że coś w domu rąbią, walą drzwiami, wreszcie nie mogłam zrozumieć czym. Wytłumaczono mi, że to znów kopalnia. To było okropne. Czułam się fatalnie. Teraz przywykłam już do płochych figielków „Karolka“.

Wędrując po sklepach i ulicach łowię śląską mowę. Czasem niemile uderzy zniekształcony niemiecki wyraz, czasem słyszę staropolskie piękne słowo. Często czegoś nie rozumiem. Przynoszę owe połapane słowa do domu, gdzie mi je gospodyni, u której zamieszkałam, tłumaczy. Od czasu do czasu zdarzy się, że gospodyni woła z przerażeniem: O jeju jeju! nie śmiecie tego mówić.

ZOFIA BOLECHOWSKA.

ALEKSANDER ROMBOWSKI

„Swoi dawny niesprawiedliwości nie zaniedbać“

Historia jest pouczająca. Historia est magistra vitae, czyli parafrazując stare łacińskie powiedzenie: historia jest nauczycielem życia politycznego.

Wszystkie ruchy rewolucyjne XIX wieku kończyły się nie tylko utratą złudzeń w swobody przyrzekane przez władców, lecz co gorzej nawrotem wielokrotnie spotęgowanego ucisku społecznego. „Zdobycze“ rewolucyj przynosiły. szerokim warstwom ludności odjęcie i tych resztek wolności, które dotąd istniały. Należy to właśnie przypomnieć w 100 rocznicę Wiosny Ludów.

Rozwój ekonomiczny Europy. nową swą treścią cisnął gwałtownie na stare formy ustrojowe, wymagał przekształceń wewnątrz państw, wymagał wyzwolenia ludu z przeżytków feudalizmu. Przeciwieństwo prawdziwego postępu i egoistycznych interesów i dążeń przeżywającej się klasy panów wzrosło ilościowo do tego stopnia, iż — w różnych krajach Europy — zaszła konieczność, jakościowych przemian, konieczność zmiany ustroju. Nadeszła więc Wiosna Ludów.

Podczas rozruchów, polski lud górnośląski potrafił przypieczętować — czynem i krwią — swą wolę w dążności do zrzucenia jarzma niewoli. Świadczą o tym, choćby samorzutne, niezorganizowane boje ludu w powiatach kluczborskim, oleskim, raciborskim i in. Pod naciskiem biegu wypadków w całych Prusach, król i wysługująca się mu warstwa feudałów, zaczęli się wycofywać z dotąd zajętych pozycji. Nastały pewne swobody i zdawało się, iż nadeszła nowa era. Kilka jednak następnych miesięcy wykazało niezaradność polityczną nie tylko ludu, lecz ich lewicowych przywódców. Warstwa rządząca ochłonęła z pierwszego strachu i zaczęła się przygotowywać do powrotu na stare stanowiska.

9 listopada 1848 roku stał się dniem przełomowym w dziejach rewolucji. Po tej dacie państwo pruskie wchodzi stopniowo w czasy najczarniejszej reakcji. 9 listopada 1848 r. król zawiesił w czynnościach sejm w Berlinie i uformował — wbrew konstytucji — rząd Brandenburga. Był to zamach stanu. Lewicowa jednak część sejmu urzędowała nadal wbrew poleceniom króla. Bytom był ważnym ośrodkiem kierowniczym podczas Wiosny Ludów na Górnym Śląsku. Posłowie powiatu bytomskiego zaprotestowali: rolnik Mildner i „czerwony“ ksiądz Józef Szafranek wydali z Berlina (9 listopada 1848 r.) odezwę do Górnoślązaków: „...jak jeden mąż wolności zdobytej brońcie...“, „Postanowiliśmy takowym gwałtom oprzeć się energicznie“. Jako środek walki wybrali... „odwagę ostrożną“, która „...wszakże zwycięża niebezpieczeństwa“. Jasną było rzeczą, iż król odważywszy się na przemyślany i przygotowany wcześniej krok nie ulęknie się po dojściu do starej władzy, ani pustych krzyków berlińskej lewicy, ani papierowych bojów. Jasną powinno było być rzeczą, iż zaczyna się systematyczny odbiór nadanych niedawno praw. Gwałt władcy można było znieść tylko gwałtem uzbrojonego ludu. Zaradzić złemu mogło jedynie szeroko zakrojone i dobrze zorganizowane powstanie, do którego warstwy dolne i bytowo i właśnie nastrojowo były wówczas najlepiej przygotowane. Toteż — wobec grozy sytuacji — bezwartościowym liczmanem stało się lewicowe hasło — nie poparte siłą oręża: „Ojczyzna jest w niebiezpieczeństwie!“ Wierzchołki lewicy nie pojmowały w zupełności już istniejącego położenia. Gwałtowi przeciwstawiali... słowa. Ulegało już wątpliwości — wobec takiego nastawienia się demokratów ówczesnych — kto wyjdzie obronną ręką z nierównego boju. Mimo to Szafranek i Mildner wołali: „W nas pokładajcie nadzieję naszą...“ Twarda rzeczywistość skreśliła jednak miraże tych posłów.

Skonsygnowane wojska królewskie zajęły Berlin. Straż obywatelską rozwiązano. W mieście ogłoszono stan oblężenia.

„Wiadomości te zatrwożyły serca mieszkańców“ powiatu bytomskiego. 12 listopada 1848 r. o godzinie 4 po południu w polskim Klubie Narodowym w Bytomiu, w sali Briegera tłumy — po przemowach Emanuela Smołki, nauczyciela i Józefa Łepkowskiego, pisarza — wiwatowały na cześć Zgromadzenia Narodowego. Obałamuceni ludzie nie widzieli niechybnych następstw stanowiska kadłubowego sejmu. Nikt ich nie pouczył, iż ludzi poznaje się nie po słowach, a po czynach. A przecież nastroje ludu przemawiały za rozpoczęciem walki zbrojnej. Umysły były tak dalece poruszone do głębi, iż nawet ludzie starzy wciągnięci zostali w wir wypadków: Właśnie na zebraniu z 12 listopada 1848 przemawiał jakiś zgrzybiały chłop z Suchej Góry i zalecił stanąć po stronie... sejmu. Uchwalono w konkluzji adres do Zgromadzenia Narodowego i zajęto się przepisywaniem tekstu. Gotowe kopie zabierali ze sobą chłopi, by zawieźć je nawet do odległych wsi, gdzie miano zebrać podpisy. — Deputowani niemieckiego klubu demokratycznego w Bytomiu — obecni na sali — zaproponowali sformułowanie w Bytomiu „wolnego korpusu“. Wysłano więc do burmistrza następujący adres:

„Ojczyzna w niebezpieczeństwie, przeto postanowiliśmy zawiązać freikorp („wolny korpus“), który prawa dla Bürgerwehry („obrony obywatelskiej“) wydane dla siebie przyjmuje, a to w celu utrzymania porządku i bronienia prawnej wolności“. Posypały się zapisy do oddziałów. Doszło więc do punktu kulminacyjnego i jedna iskra mogła wywołać powstanie. Posłowie jednak wcale sobie tego nie życzyli. Ciągle po próżnicy debatowano w sejmie.

W bytomskim zareagował lud entuzjazmem. Posypało się tysiące podpisów. Ocalał w oryginale taki adres, którego wzór ofiarowano 12 listopada 1848 r. na zebraniu w Klubie Narodowym w Bytomiu. W Państwowym Archiwum we Wrocławiu — wśród stosów zwalonych w nieładzie — znalazłem rękopis petycji z gminy Bobrownik (w powiecie bytomskim) do ks. Józefa Szafranka w Berlinie. Na górze manuskryptu 4-stronicowego (format 54,1 x 20,8 cm), zapisał ktoś po niemiecku: „durch den Abgeordneten Schafranek Protest gegen das Ministerium Brandenburg“. Niżej idzie treść właściwa. Pisały ją różne ręce, jedna wprawna, inne spracowane, do trzymania pióra nienawykłe. Tekst samego protestu podajemy według druku „Dziennika Górno-Śląskiego“ (nr. 47 — 16. 11. 1848 r., s. 245) uwzględniając w przypiskach odmianki z rękopisu. Podpisy chłopów itd. pochodzą też z manuskryptu.

„Wysokie Zgromadzenie Narodowe!

W skutku zaszłych w Berlinie wydarzeń, które zagrażają wolności i prawom ludu, w skutku tych jawnych już dążeń reakcji; gdy rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego, stać by się tylko mogło z pognębieniem wolności naszej. Przeto oświadczamy, iż wolą i czynem pragniemy wspierać i bronić czynności Zgromadzenia Narodowego, które od nas wybrane i naszą wolę pełnić ma i bez szkody naszej rozwiązać się nie może i nie powinno!

Z Klubu Narodowego

Gmina Bobrowniki, powiatu bytomskiego.

1. Peter Skrzipiet
2. ††† Anton Solik
3. ††† Sepan Sdebel
4. ††† Morcin Trusz
5. Joseph Matheizik
6. Jendra Thomczyk
7. Ignatz Marek
8. Lorenc Kuna
9. Frantz Kuna
10. Ludwig Schewiola itd. aż do 131.

Kochani Przyjaciele Bardzonom się tasp[r]awapodoba, poniewaz tak sie znalezy oswoim iedni drugiem wiadomość dawać a swoi dawny niesprawiedliwości nie zaniedbać my swami tak mocno stac chcemy

J ostaiemy waszymi

Przіiacielami

Petycja ta ciekawa jest z różnych względów: 1) politycznego: widać z niej — w szczególności z ilości podpisów i końcowego dopisku nastroje rewolucyjne chłopów bobrownickich, 2) oświatowego: w gminie Bobrowniki, w powiecie bytomskim, była w r. 1848 przewaga analfabetów, gdyż na 131 osób — 112 podpisanych jest krzyżykami, 19 bez krzyżyków, 3) językowego: poznajemy imiona i nazwiska nieraz w formie ludowej, czasem natomiast zniemczonej, spotykamy tu nadto materiał do historii imion i nazwisk na Śląsku. Wreszcie widzimy proces z jednej strony germanizacyjny w pisaniu imion i nazwisk, z drugiej strony polonizacyjny (np. Tuksz).

Ad 1. Zauważyć wypada: w późniejszej petycji do Zgromadzenia Narodowego („Dziennik Górnośląski“, Nr. 51 — 29 listopada 1848, s. 2) figuruje około 50 gmin powiatu bytomskiego. W adresie więc z 12 listopada 1848 r. podpisało się więc w sumie prawdopodobnie wiele tysięcy chłopów. A to świadczyłoby o masowości ruchu rewolucyjnego w pow. bytomskim.

Ad 2. Analfabetyzm w powiecie bytomskim należy uważać jako skutek germanizacji przez szkołę niemiecką.

Tak prosty lud wyrażał swą wolę w walce o wolność. Jednak wszelki zapał kierowali prowodyrzy polityczni na nieodpowiednie tory. Zgromadzenie Narodowe mianowicie ogłosiło rządowi uzurpatorskiemu wojnę... pokojową: przykazano ludowi dobrowolnie nie płacić podatków, chyba, że do tego zmuszą urzędy. W listopadzie więc 1848 r. nastąpiła właściwa kapitulacja lewicy. Nie pomyślano o walce zbrojnej, a dalszy bieg wypadków poszedł już po myśli króla, jego wykonawców, po myśli klasy rządzącej. Reszta to historia szumu około pustych słów tak w Berlinie, jak i w Bytomiu. Stąd też od 9 listopada 1848 r. zaczęły się czasy ponurej reakcji w Prusach

Historia Wiosny Ludów w Prusach, a w danym przypadku na Górnym Śląsku wykazała dobitnie, że upadek rewolucji nastąpił nie tylko z powodu oszukańczej, nie przebierającej w środkach, akcji warstwy rządzącej, ale przede wszystkim z powodu braku przodującej wobec ludu partii naprawdę rewolucyjnie konsekwentnej.

(W pracy niniejszej korzystałem m. in. z „Dziennika Górnośląskiego“ z r. 1848 nr 46, s. 242-3, nr 47, s. 245-6, nr 49, s. 1, nr 51, s. 2).

Aleksander Rombowski

Komunikat

Dnia 1 listopada 1948 r. został urzędowo zatwierdzony, otrzymał możność zawierania umów i podejmowania prac Instytut Badań Literackich.

I. B. L. prowadzi:

Zakład historii literatury polskiej,

Zakład teorii literatury i metodologii badań literackich,

Zakład bibliografii,

Pracownię podręcznika szkolnego historii literatury polskiej.

Lokal I. B. L. mieści się w Warszawie przy ulicy Krakowskie Przedmieście 17, pok. 208, telefon 89960 (wewn. 28). Kancelaria L. przyjmuje w czwartki od godz. 12—13.

Pokłosie wydawnicze Wiosny Ludów

Stulecie „Wiosny Ludów“ zbliża się ku końcowi, a jednak w przyszłym roku i przez wiele jeszcze lat czerpać będą historycy, politycy, literaci i publicyści z tej niezbadanej jeszcze skarbnicy dokumentów, zapisków i korespondencji o przeżyciach narodów i jednostek, o ruchach społecznych, walkach wyzwoleńczych i manifestacjach politycznych, w jakie rok tej „Wiosny“ obfitował we wszystkich częściach Europy.

Jednym z czynów prawdziwie pozytywnych, wartościowych i w znacznej części odkrywczych była Wystawa Historyczna „Wiosny Ludów“ 1846—1849 r., urządzona w Krakowie dzięki pomocy finansowej Zarządu Miejskiego przez Muzeum Historyczne m. Krakowa, pod kierunkiem dyrektora Jerzego Dobrzyckiego, jego zastępcy, doc. Mariana Tyrowicza i całego zespołu pracowników, w ujęciu artystycznym prof. Witolda Chomicza. Wystawa ta, którą oglądały dziesiątki tysięcy widzów z kraju i zagranicy, objedzie niezawodnie wszystkie ośrodki kulturalne Polski i pozwoli także szerokim rzeszom społeczeństwa na prowincji wglądnąć w tajniki pamiętnych ruchów rewolucyjnych 1846 — 49 r., i spojrzeć — choć na podobiznach, sztychach i reprodukcjach, — w oczy tym często zapomnianym i bezimiennym bohaterom walki za wolność „waszą i naszą“. Zwraca na niej uwagę szczególnie nieznana zupełnie ilustracja z podobiznami kilkudziesięciu polskich chłopów — Moabitczyków wedle rysunku z r. 1848.

Ostatnio ukazały się dwie cenne publikacje, związane z tą wystawą i z latami ruchów rewolucyjnych ub. wieku, które zasługują ze wszech miar na krótkie choć omówienie. Jest to „Katolog wystawy historycznej „Wiosna Ludów““ oraz „Polscy bojownicy „Wiosny ludów“, z których pierwszy wydany nakładem Zarządu Miejskiego m. Krakowa, jako wydawnictwo krak. Muzeum Historycznego, — drugie zaś nakładem wyd. „Kolumna“ w Łodzi. Oba wydawnictwa opracował, obiekty skatalogował, oraz datami biograficznymi opatrzył dr Marian Tyrowicz. Katalog poprzedził ponadto obszernym słowem wstępnym dyr. Muzeum Hist., dr Jerzy Dobrzycki, przedstawiając genezę, cele i zakres samej wystawy, zasługi prezydium i Zarządu Miasta, zabiegi ściślejszego Komitetu Organizacyjnego z historykami Janem Pachońskim, Mar. Tyrowiczem i Janiną Bieniarzówną na czele, źródła z jakich czerpano eksponaty, oraz poważny wkład trudu całego zespołu pracowników umysłowych i fizycznych. O rozmiarach wystawy, pomieszczonej w siedmiu obszernych salach, dwu halach i 15 tablicach, daje pojęcie sama cyfra 924 eksponatów. Bardzo trafną nowością artystyczno-plastyczną była oryginalnie pomyślana i pięknie wykonana panorama **„Rynek krakowski 26. kwietnia 1848 r.“**, pędzla art.-malarza prof. **Zygmunta Wierciaka**, przy współpracy naukowej dra J. Dobrzyckiego oraz **Mapa świetlana Wiosny Ludów w Europie** wedle pomysłu dr M. Tyrowicza w wykonaniu graficznym art.-malarza prof. **Henryka Starzyńskiego**. Największą zaletą katalogu, wykonanego nadzwyczaj sumiennie a wydanego w szacie graficznej — jak na dzisiejsze czasy — wytwornej z 36 reprodukcjami bardzo rzadkich lub zupełnie nieznanych ilustracji — jest jego **indeks nazwiskowy i rzeczowy**, do którego będą mogli przyszli badacze lat 1846—49 sięgnąć w każdej potrzebie i orientować się w olbrzymim materiale. Cenne też są objaśnienia historyczne, bibliograficzne i muzealno-artystyczne przy każdej pozycji poszczególnych eksponatów katalogu.

Publikacja łódzka, znacznie mniejsza nie ustępuje w niczym pierwszej pod względem graficznym opracowana artystycznie przez malarza-grafika Ludwika Tyrowicza, a opatrzona krótkimi historyczno-biograficznymi uwagami doc. Mar. Tyrowicza. Okładka stylowa, podkreśla czynnik bojowy „Wiosny Ludów“ pod hasłem „wolności, równości i braterstwa“. Zawartość — to 21 nieznanych lub mało znanych portretów demokratów polskich, którzy z bronią lub z piórem w ręku, na polach walki, w demonstracjach ulicznych lub więzieniach i kazamatach austriacko-pruskich, walczyli o ideały „wiosny ludów“.

Zadziwia tylko jedna okoliczność, czemu pominięto dwu najwybitniejszych działaczy politycznych i społecznych, którzy tak wielką odegrali rolę w ruchach wolnościowych lat 40-ych ub. w.: **J. M. Ossolińskiego**, szczerego demokraty i mecenasa nauki polskiej, który był jednym z inicjatorów pierwszego wielkiego **Kongresu Słowiańskiego** w Pradze w r. 1848 i zajął na nim zdecydowane stanowisko antyniemieckie, oraz — **X. Adama Czartoryskiego,** jednego z najwybitniejszych dyplomatów i konspiratorów lat 40-ych — aczkolwiek z obozu konserwatystów, — działającego tak czynnie i skutecznie zarówno na terenie Europy środkowej, jak i na Bałkanach, któremu tyle mają do zawdzięczenia narody południowo-słowiańskie, jak Słoweńcy, Chorwaci, Serbowie, Czarnogórcy, Bułgarzy, a także narody niesłowiańskie, jak Turcy, Rumuni i Węgrzy. Jeżeli nie ze względu na sprawę polską, którą reprezentuje w obu wydawnictwach przede wszystkim ówczesny **obóz demokratyczny,** to ze względu na rolę ich około dzieła wyzwolenia Słowian zachodnich i południowych, powinni byli być uwzględnieni w obu publikacjach. Tego wymagała prawda historyczna.

Mimo tej usterki, fundatorom, autorom, wydawcom i drukarzom obu dzieł należy się w całej pełni wdzięczność i uznanie.

Tad. Stan. Grabowski.

RYSZARD JĘDRASZCZYK

W hali fabrycznej

Niebo
nad nami ujęte w kratki
żelaznych ram —

po nich głową na dół
porusza się żelazny kran
który z łatwością przeniósł
się w inny świat pojęć —

ogromna pieczara martynowskiego
pieca wypuszcza stugłowego
potwora w płynnym żelazie

ale zaraz wola robotnika
stojącego obok pohamuje
jego zachłanne zapędy
i nada mu pożądany kształt —

ja myślę: będzie dostatnio
zastawiony stół;

urabiany w atmosferze
tysiąca rąk i serc
aż do białości rozżarzony
opuszczając halę fabryczną
mówię o sobie:

— nowy produkt.

Odbudowa

Dopchali ostatni wózek
gruzu
z wyczerpaniem się dnia:

mężnie wytrzymały zgarbione
plecy robotników
osunięcie się czarnej
bryły wieczoru —

ciepły wiatr
od ruin
zaczął prószyć w trop —
ktoś odchodząc
ostatni
zatknął tutaj
latarnię —

graniczny kamień.

Treny ojczyste

(Dokończenie ze strcony 1)

wyłączeni. Teraz nie tylko się rabowało i kradło, lecz wszelkie prywatne porachunki pozostawiało się całkowitej samowoli.

Profesorowie uniwersytetów skrobali gołymi rękami ulice, pobożnych białobrodych Żydów zapędzono do świątyni i wrzeszczące łobuziaki zmuszały ich paść na kolana i krzyczeć chóralnie: „Heil Hitler“. Niewinnych ludzi chwytano na ulicach jak zające i pędzono do koszar SA, by je zamiatali i sprzątali; wszystko, o czym chorobliwie ohydna fantazja nienawiści przez wiele nocy marzyła, szalało w biały dzień. Że włamywali się oni do mieszkań i zrywali przerażonym kobietom kolczyki z uszu — coś podobnego mogło się również wydarzyć przed setkami lat, w średniowiecznych rabunkach miast; lecz rzeczą nową była bezwstydna przyjemność publicznego znęcania się, duchowa martyrologia, wyrafinowane poniżanie.

Wszystko to nie jest notowane przez jednego tylko człowieka, lecz przez tysięce cierpiących ludzi i w jakiejś spokojniejszej (innej niż nasza wyczerpana moralnie) epoce będzie się ze zgrozą czytało, jakie jeden opętany nienawiścią człowiek popełnił zbrodnie w tym mieście kultury, w dwudziestym wieku. Jest to bowiem diaboliczny triumf Hitlera — jemu jednemu udało się pogwałcić wszelkie pojęcia prawne przez ustawiczne ich przekraczanie. Przed tym „nowym porządkiem“ zamordowanie jednego człowieka bez orzeczenia sądowego i bez zewnętrznej przyczyny wstrząsnęłoby jeszcze światem, tortury były nie do pomyślenia w dwudziestym wieku, ekspriopriację nazywano jeszcze jasno i niedwuznacznie kradzieżą i rabunkiem. Teraz jednak, po następujących ciągle na nowo nocach Bartłomieja, po codziennych śmiertelnych torturach w więzieniach SA i za drutami kolczastymi, cóż znaczyła pojedyncza krzywda, co ziemskie cierpienie? W 1938 roku, po zajęciu Austrii, nasz świat przywykł już do antyhumanizmu, do bezprawia i brutalności, jak nigdy przedtem w stuleciach. Przedtem to, co wystarczyłoby do spowodowania międzynarodowej banicji, w roku 1938 milczało sumienie świata lub pomrukiwało zaledwie, by wypaczyć się rychło i zapomnieć.

Te czasy, kiedy codziennie dochodziły z ojczyzny wołania o pomoc, kiedy wiedziało się o wywożeniu najbliższych przyjaciół, o torturowaniu i poniżaniu ich i drżało się w bezsilności o każdego, kogo się kochało — należą do nastraszniejszych w moim życiu.

I nie wstydzę się tego powiedzieć — tak ów perwersyjny czas zniszczył nasze serca — że nie przeraziła mnie i nie pogrążyła w rozpaczy wiadomość o śmierci mojej matki, którą pozostawiliśmy w Wiedniu, lecz że przeciwnie podziałała nawet jako rodzaj uspokojenia, że uwolniono ją oto od wszelkich niebezpieczeństw i cierpień. Osiemdziesięcioczteroletnia, prawie całkowicie sterana, miała mieszkanie w naszym rodzinnym domu, nawet po wprowadzeniu nowych „zarządzeń aryjskich“ nie była na razie prześladowana i mieliśmy nadzieję, że uda nam się w jakiś sposób wywieźć ją po pewnym czasie za granicę.

Ale już pierwsze zarządzenie wiedeńskie twardo ją dotknęło. Ze swoimi osiemdziesięciomaczterema latami, słabo trzymała się na nogach i przywykła w czasie swego codziennego krótkiego spaceru, po pięciu lub dziesięciu minutach trudnego chodzenia, odpoczywać na ławeczce w ulicy Pierścieniowej lub w parku. Jeszcze i tydzień nie minął od chwili panowania Hitlera nad Wiedniem, gdy przyszło zwierzęce zarządzenie, że Żydom nie wolno siadać na ławkach — jedno z owych zarządzeń, które służyły wyłącznie i jedynie sadystycznemu celowi złośliwego gnębienia ludzi. Bo ograbiać Żydów, miało to ciągle jeszcze logikę i sens, ponieważ zrabowanymi fabrykatami, urządzeniami mieszkaniowymi, willami i opróżnionymi stanowiskami pasło się i wynagradzało swoich ludzi i starych trabantów; ostatecznie galeria obrazów Goeringa zawdzięczała swoją wspaniałość głównie tej wielkopańskiej praktyce.

Ale zabronić starej kobiecie albo wyczerpanemu starcowi spocząć na ławce, stało się przywilejem dwudziestego stulecia i człowieka, którego miliony ubóstwiały jako największego naszych czasów.

Stefan Zweig
Tłumaczył **Jan Koprowski**

STEFAN ZWEIG

Ostatni wiersz

Kręgi godziny zwisają cicho
nad włosami, które już siwe,
bowiem dopiero na dnie kielicha
staje się jasne wszystko i szczęśliwe.
Przeczuwana bliska zatrata
już nie zakłóca ... nie płaczą ręce.
Głęboką rozkosz poznania świata
zna ten, kto nie pożąda więcej,
kto już nie pyta, czego dokonał,
że zbłądził, nad tym biadań nie wszczyna,
i starcom tylko przeznaczona
ich pożegnania lekka godzina.
Nigdy się oddal tak nie błyszczy
jak w rozdzielonych światła promieniach;
nigdy się życia nie jest bliższym
niżeli w cieniu wyrzeczenia.

Tłum. JAN KOPROWSKI.

„Odwety“ Kruczkowskiego na scenie Teatru im. Jaracza w Olsztynie. Na zdjęciu Władysław Surzyński jako Jagnin i Józef Kozłowski jako Julek

Teatr w Olsztynie

„ODWETY“ Leona Kruczkowskiego w Teatrze Olsztyńskim im. Stefana Jaracza.

Teatr olsztyński pomimo spóźnionego rozpoczęcia sezonu (7. X. 1948) zdążył zorganizować dotychczas szereg premier, na inaugurację dając „Kaśkę Kariatydę“ Zapolskiej. Drugim spektaklem poszła „Subretka“ Devala z gościnnym występem Stefanii Jarkowskiej, po czym wielkim nakładem pracy całego zespołu wystawiono dla uczczenia Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej montaż sceniczny (inscenizacja St. Milskiego) pt. „braterstwo Ducha“ złożony z interesującej sceny „Mickiewicz i Puszkin pod pomnikiem Piotra Wielkiego“, „Demon“ sceny z powieści wschodniej M. Lermontowa (w roli tytułowej wystąpił dyr. Surzyński. Tamarę kreowała Hanna Zielińska), „Dwie blizny“ Fredry, oraz groteskowo potraktowane „Oświadczyny“ A. Czechowa.

Imponującą oprawę dekoracyjną stworzył prof. Kazimierz Pręczkowski.

Pomimo wytężonej pracy nad „Wiktorią i jej huzarem“ (występ gościnny Elny Gistedt), która to sztuka wchodzi na afisz w ramach świątecznego repertuaru — cały zespół zdobył się na wyjątkowy wysiłek, wystawiając w rekordowym tempie (niespełna 2 tyg.) ku uczczeniu Kongresu Zjednoczenia Partii Robotniczych sztukę L. Kruczkowskiego „Odwety“, cieszącą się stałym powodzeniem.

Na premierze był obecny autor sztuki, który nie szczędził wykonawcom i całemu zespołowi na czele z dyrektorem Teatru Wł. Surzyńskim słów uznania oświadczając, że jego zdaniem „Odwety“ na scenie olsztyńskiej są wystawione (zwłaszcza scena finałowa aktu II) z dużą wnikliwością artystyczną.

W najbliższym czasie damy obszerniejsze sprawozdanie z pracy i dotychczasowych osiągnięć Teatru im. Stefana Jaracza **Z. A.**

EGON NAGANOWSKI

André Gide
pisarz zbankrutowany

W żadnym kraju literatura nie posiada tak pięknych a szczególnie tak dawnych tradycji wolnościowych, jak we Francji. Nigdzie indziej ludzie pióra nie mogli się uważać z większą słusznością za faktycznych przywódców ludu na drodze ku lepszej przyszłości, nigdzie indziej nie byli do tego stopnia wyrazicielami i nosicielami istotnych tendencji, nurtujących naród. Słowo i myśl francuska niby gwiazdy świecą od stuleci nad ziemią, która w czasach Wielkiej Rewolucji witała u swych granic obcego przybysza napisem: „Ici commence la terre de la liberté“ („Tu zaczyna się kraina wolności“). Ta wolność francuska nie była pojęciem ciasnym, nacjonalistyczno-egoistycznym, lecz kładła zawsze nacisk na ścisłą łączność ze wszystkimi uciśnionymi bez względu na rasę i kolor skóry. „Rozbijamy kraty więzień dla naszych braci...“ śpiewali w czasie ostatniej wojny francuscy partyzanci („Chant du Maquis“) — dla braci na całym świecie.

Duch oporu i duch izolacjonizmu

Hitlerowska niewola wystawiła intelektualistów francuskich na ciężką próbę. Z jednej strony terrorem, a z drugiej mamieniem rzekomą czcią dla francuskich wartości kulturalnych, Niemcy starali się ujarzmić pisarzy. Lecz oni, w przeciwieństwie do polityków — zdrajców pokroju Lavala, Darnanda i Henriota, w większości stawili czoła przemocy i oparli się pokusom, podejmując bezkompromisową walkę. O wspaniałym „ésprit français de la Résistance“ („duchu francuskiego oporu“) zaświadczyło kilkadziesiąt tomów konspiracyjnego wydawnictwa paryskiego „Les Editions de Minuit“, zaświadczyły takie pisma, jak „Université Libre“, „Pensée Libre“, czy „Lettres Françaises“, zaświadczyli ludzie będący dumą współczesnego piśmiennictwa francuskiego — Vercors, Louis Aragon, Paul Eluard, George Adam, Jean Paulhan i zamordowani przez hitlerowców: Jacques Decour, Gabriel Péri, Benjamin Crémieux, Max Jacob, Marianne Cohn oraz wielu, wielu innych.

Przez utwory wymienionych autorów przewija się jedna wspólna myśl, myśl o odpowiedzialności za siebie i innych wobec narodu. Głębokie zrozumienie, że każdy prawdziwy czyn, a więc i czyn pisarza liczy się dziś tylko wówczas, gdy — mówiąc słowami Antoine de Saint-Exupéry (zginął w r. 1944 śmiercią lotnika nad ziemią ojczystą) — służy czemuś, co „jest większe, niż my sami“. Ten postulat społecznego humanizmu, zwracającego się do ludzi dla ludzi, dla ludzi wolnych i szczęśliwych, realizowali intelektualiści francuskiego ruchu oporu nietylko wbrew niewielkiej grupie kolaboracjonistów, którzy paktowali ze zbrodniczym systemem (Sacha Guitry, Henri de Montherlant), lecz również wbrew „izolacjonistom“, którzy zapatrzeni w siebie hołdowali intelektualistyczno-egoistycznemu humanizmowi swoiście pojętego „swobodnego człowieczeństwa“, nie przejmując się niewolą narodu. Jest rzeczą zawstydzającą i niezgodną z francuską tradycją wolnościową, że do izolacjonistów, zajmujących pod okupacją chwiejne stanowisko między kolaboracją a nader słabym protestem, trzeba niestety zaliczyć pisarza, uważanego przez wielu za czołową postać współczesnej literatury francuskiej i światowej — laureata Nobla — André Gide‘a. Po wydanym przez niego w r. 1946 ostatnim tomie „Dziennika“ („Journal“ z lat 1939—1942) nie może być co do tego najmniejszej wątpliwości. Czytamy tam rzeczy zdumiewające, choć — powiedzmy to odrazu — wcale nie tak dziwne dla kogoś, kto się nieco orientuje w dawniejszej twórczości autora „Lochów Watykanu“.

Amoraliści i fałszerze

Z dzieł, które André Gide (ur. 1869) wydał do wybuchu pierwszej wojny światowej przede wszystkim godnymi uwagi są: „Pokarmy ziemskie“ („Norritures terrestres“ — poemat prozą) oraz „Amoralista“ („L‘immoraliste“ — powieść). Utwory te poczęte w duchu Fryderyka Nietzschego bądź opiewają, bądź też dokładnie analizują bezwzględnego człowieka czynu i są pod tym względem symptomatyczne dla większości książek Gide‘a. Podjęty tu problem wyżycia się bez skrupułów, autor stawia wprawdzie jako dociekliwy moralista, lecz rozstrzyga go po linii estetyzującego amoralizmu, uznającego jedynie jednostkowe, egoistyczne kryteria. Szczycąc się brakiem jakichkolwiek uprzedzeń („un ésprit non-prévenu“ mówi sam o sobie) Gide faktycznie aprobuje wszystko, co zapewnia „ludziom wyjątkowym“ swobodny rozwój osobowości. Na czym ten rozwój m. in. polega, widzimy najlepiej na przykładzie młodego Lafcadia i jego tajemniczego mentora z „Lochów Watykanu“ („Les Caves du Vatican“). Ludzie ci zgodnie z kardynalną zasadą Gide‘a brzmiącą: „jeżeli jakiś czyn sprawia mi przyjemność, jest to znakiem, że powinienem go spełnić“, nie cofają się przed bezsensowną zbrodnią, byle tylko zadokumentować swą „wolność“ robienia co im się żywnie podoba. Wprawdzie według tych samych założeń przyjemność może się też pokrywać ze spełnieniem czynu szlachetnego, ale to nie osłabia zasadniczego niebezpieczeństwa całej koncepcji. Tak więc „Lochy Watykanu“ zwracając się przeciwko etyce chrześcijańskiej (takie było założenie), zwróciły się zarazem przeciw wszelkiej społecznie uznanej czy społecznie koniecznej etyce w ogóle.

Coś podobnego można stwierdzić odnośnie ogłoszonej już po wojnie, w r. 1926, obszernej powieści pt. „Fałszerze“ („Les Faux-Monnayeurs“) obrazującej ponure dzieje grupy studentów i uczniów. Występuje tu banda fałszerzy pieniędzy popełniająca przestępstwa z takich samych motywów, jak Lafcadio. Jeszcze przed tym ukazał się „Corydon“ oraz wspomnienia z dzieciństwa i młodości zatytułowane „Jeżeli ziarno nie obumrze..“ („Si le grain ne meurt...“) — apoteoza homoseksualizmu, która swego czasu narobiła wiele hałasu. O ile w poprzednio omówionych książkach chodziło w pierwszej linii o swobodę dla społecznej „etyki“ wybrańców, o tyle tu obala się przyjętą moralność seksualną. Jednostki niezwykłe mają prawo do rozkoszy bez oglądania się na cokolwiek. Wynika to też z ironiczno-frywolnego „Tezeusza“ („Thésée“ — 1945), krótkiej spowiedzi życiowej greckiego bohatera i zarazem samego Gide‘a, w której znów człowiek nieskrępowanego czynu odnosi szereg erotycznych i innych triumfów, niekiedy mocno wątpliwego charakteru, by — według słów autora — „wyczerpać każdą przyjemność i każdą rozkosz tej ziemi“.

„Sumienie zachodu“

Biorąc pod uwagę zarysowaną filozofię swobodnego wyżycia się we wszelkich dziedzinach, łatwo zrozumieć, dlaczego Gide, który był ongiś bożyszczem młodzieży zachodnio - europejskiej, doznał tak gorącego przyjęcia ze strony młodych Niemców podczas monachijskiego zjazdu w r. 1947. Hellmut Jaesrich pisał niedawno o Gide‘zie w dwutygodniku młodzieżowym „Horizont“ (6. 6. 1948) jako o fascynującym nauczycielu „torującym drogę nowej Francji“. Gide zaklinał przecież Niemców w Monachium, by nie popadali w błąd niedoceniania własnej wartości i spojrzeli na swe położenie z dystansu ironii. Również inni publicyści i krytycy niemieccy, z wyjątkiem szczerze postępowych, oddają autorowi „Amoralisty“ hołd mieniąc go „wielkim Europejczykiem“ (Manuel Gasser, „Die neue Zeitung“ 17. 11. 1947) lub nawet „sumieniem zachodu“ (Willy Fehse, „Weltpresse“, nr 5 — 1947).

Jak zdążyliśmy zauważyć, zestawianie Gide‘a z sumieniem wygląda na tle jego twórczości artystycznej dosyć paradoksalnie. Jeszcze paradoksalniej wystąpi ono, gdy otworzymy wspomniany na początku „Dziennik“. Niby drugi Oskar Wilde, z którym ma w ogóle wiele wspólnego, pisze tam: „Zawsze byłem gotów poświęcić znaczenie dla rytmu“. Oto znamienne wyznanie skrajnego, nieobliczalnego estety. Na innych zaś kartkach znajdziemy enuncjacje zasługujące na określenie cynicznego wyznania skrajnego egoisty i tym miejscom poświęcimy nieco uwagi. Wprawdzie sprawiedliwość każe przyznać, że Gide — publicysta ujmował się ongiś za uciśnionymi ludami kolonialnymi, pisząc „Podróż do Konga“ („Voyage au Congo“) i „Powrót z Czadu“ („Le Retour du Tschad“ — 1925), ale entuzjazm dla marksizmu, który wówczas żywił, skończył się na antyradzieckim „Powrocie z Z. S. S. R.“ („Retour de l‘ U. R. S. S.“), tak jak w ogóle nigdy nie harmonizował z resztą gide‘owskiej twórczości. Wypływał raczej z próżności i fantazji, z chęci budzenia sensacji, a nie z miłości do prześladowanych. Jakżeby bowiem inaczej było możliwe, by Gide pozostał obojętny na cierpienia własnego narodu, jęczącego pod butem hitlerowskiego najeźdźcy i rodzimych faszystów?

Ucieczka, cynizm, podziw

Gdy wybuchła wojna w r. 1939, autor „Dziennika“ odgrodził się od razu od tego, co się w świecie działo. Cóż go obchodziła Polska, cóż przyszłe, nieuchronne zagrożenie Francji? Czytał klasyków i pod datą 19 września zapisał z ulgą: „W ostatnich dniach zamieniłem Racine‘a na Lafontaine‘a... Ach, jakże daleko jesteśmy wraz z nim do wydarzeń wojny!“. Dnia 30 października zaś dodał: „Nie, stanowczo nie zdecyduję się na przemawianie przez radio... Moja myśl nie ma potrzeby postępować równym krokiem za innymi... „O ile w czasie hitlerowskiego najazdu na Polskę Gide‘owi wystarczali klasycy, o tyle w maju 1940 r., w chwili rozpoczęcia niemieckiej ofensywy na zachód, poszukał sobie bezpiecznego schronienia w lekturze o krajach podbiegunowych i Amazonce. 13 maja odczuł jednak pewien niepokój, przeszkadzający mu w rozkoszowaniu się najciekawszymi miejscami „Zdobywców bieguna“. Miał wrażenie, że powinien zająć się czymś innym. Czym? Może zaofiarowaniem swych usług pisarza broniącej się ojczyźnie? Bynajmniej! „Pozwalam więc przerwać sobie nagle interesującą lekturę — wyznaje — by opiłować paznokcie lub zluźnić sznurowadła“. Ileż w tym zdaniu subtelnej wyższości intelektualisty wobec rozpoczynającej się katastrofy! Żołnierze ginęli na froncie, a Gide... Lecz idźmy dalej.

W dniu 11 czerwca 1940 r. Gide był w Vichy i w związku z tym zanotował w pamiętniku: „Czy intelektualiści, którzy dziś powiadają „mea culpa“ i obwiniają się, że nazbyt lubili literaturę, zrozumieją, jak szkodliwą dla kultury rzeczą jest porzucanie pewnej wytworności ducha?“ Na szczęście ta „wytworność ducha“ nie wyginęła zupełnie, Gide skonstatował ją bowiem u... Pétaina, którego przemówienie z 14 czerwca ocenił jako „poprostu cudowne... Nie można się było wyrazić lepiej, słowa tego rodzaju pozwalają nam przejść do porządku dziennego nad wszelkimi frazesami radia“. W następnych miesiącach Gide przestał się wprawdzie zachwycać nieszczęsnym marszałkiem, ale nigdy go, jak też całego systemu Vichy, ostro i jasno nie osądził. Przeciwnie. Zgadzał się z kolaboracjonistyczną tezą o słabości i zasłużonym nieszczęściu Francji, by wreszcie tak oto scharakteryzować Hitlera: „...Wykazał on — czytamy pod datą 7 lipca — pewnego rodzaju genialność, a co mnie przede wszystkim zdumiewa, to wielostronność jego pomysłów. Od początku wojny, (co mówię, już dużo wcześniej) wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak on to przewidział i chciał... Wkrótce dojdzie do tego, że nawet ci, których zniszczył, przeklinając go, będą musieli go jednak podziwiać“. I kawałek dalej: „Pragnąłbym by mi powiedziano, czy jego pogarda względem innych, dla której okrzyczano go u nas, jako potwora, czy jego lekceważenie przeciwników nie okazało się w praktyce uzasadnione? Jego wielka cyniczna moc polegała na tym, że cenił nie uczciwość lecz wyłącznie realne fakty... Można go wprawdzie nienawidzieć, tym niemniej jest kimś bardzo silnym“.

O innych nie chodzi!

Bijący z przytoczonych słów podziw dla Hitlera, stanowi tylko logiczną kontynuację założeń myślowych, które kazały Gide‘owi apoteozować mniej lub więcej zbrodniczych ludzi czynu. Hitler, człowiek wyjątkowy — postępował po prostu tak, by zapewnić sobie „swobodny rozwój osobowości“. A może wytrawnemu estecie tego rodzaju wynurzenia lepiej pasowały do „rytmu“, niż uczucie patriotyczne, o którym pisał 14 lipca 1940 r., że nie jest więcej trwałe od innych drogich skądinąd uczuć, posiadających dla nas chwilami nader małą wagę. Cóż więc jest ważne? Tylko sztuka i twórcza wolna indywidualność. Reszta niech zginie i przepadnie. „Jeżeli jutro, czego się obawiam — poucza Gide — zabroni nam się jakiejkolwiek swobody myśli i wyrazu, postaram się udowodnić, że sztuka, a nawet myśl sama mniej na tym ucierpi, niż gdyby panowała nadmierna wolność. Ucisk nie zaszkodzi najlepszym. A o innych nie chodzi. Niech żyje sprężona myśl! I tak jedynie nieliczni mogą uratować świat“. A naród, szerokie masy ludu, które nie chciały się ugiąć? Cóż Gide miał im do powiedzenia? „Pogodzić się z wczorajszym nieprzyjacielem — brzmi recepta — nie jest tchórzostwem, lecz roztropnością, podobnie jak pogodzenie się z nie dającym się odwrócić losem... Kto przeciw niemu powstaje, wpada w pułapkę. Poco ranić się o kraty klatki? Na to, by mniej cierpieć z powodu ciasnoty celi, istnieje tylko jedna rada: trzymać się dokładnie pośrodku“.

Bankructwo

Tak możnaby cytować całymi stronicami. Jak to Gide drżał wiecznie o swój spokój i wygodę, jak w wynędzniałej Francji chodził na sute śniadania i kolacje, ubolewając, „że trzeba się dziś ukrywać przed szerszą publicznością, chcąc zajadać raki i mięso bez ograniczeń...“ itd. itd. Chwilami zdaje sobie jednak sprawę z małości swego nastawienia i wtedy bezradny i chwiejny przyznaje się do duchowego bankructwa. „Mój niepokój tkwi głęboko i pochodzi stąd, że nie umiem rozstrzygnąć z dostateczną stanowczością: tu jest dobro, a tam zło. Nie uszło mi bezkarnie, że przez całe życie ćwiczyłem się w rozumieniu innych. Dziś doszedłem w tym do takiej perfekcji, że punktem widzenia, na którym najtrudniej mi wytrwać, jest moje własne zdanie“.

Gdyby nie nuta cynizmu, odzywająca się często w „Dzienniku“, należałoby uważać Gide‘a ze ściśle ludzkiego punktu widzenia za postać tragiczną. I gdyby nie to, że obecnie chce znów odgrywać rolę mędrca i nauczyciela humanizmu. I gdyby nie to, że uzurpuje sobie prawo przemawiania w imieniu Francji, jej nieśmiertelnego ducha, jak tego np. dowodzi odczyt, wygłoszony w Bajrucie w r. 1946. Francja Vercorsa, Aragona i Eluarda nie może uznać synów, którzy w chwilach próby żyli życiem egoistów i nie będąc wprost kolaboracjonistami, jednak faktycznie do kolaboracjonizmu byli zbliżeni. Doskonałość rzemiosła nie ulegająca u Gide‘a wątpliwości, niczego nie usprawiedliwia. Tendencja jego dzieł oskarża go z ludzkiego, społecznego punktu widzenia. A bezideowość, indyferentyzm, daltonizm moralny, czynią z całokształtu jego pisarskiego dorobku piękne wprawdzie, lecz puste naczynie. To co się w nim mieściło — raz za sprawą Fryderyka Nietzschego a drugi raz, co tu dużo mówić, pośrednio za sprawą Hitlera, nie przyniosło André Gide‘owi zaszczytu, a Francji pożytku. Nawet wielki intelekt — a któż go autorowi doskonałych essayów o Montaigne‘u i Wildzie odmówi — potrzebuje moralnej busoli. Tę busolę Gide zatracił, o ile ją kiedykolwiek posiadał. Będąc człowiekiem słabym, wyznawcą schyłkowego hedonizmu, wydawał siebie i innych na łup brutalnych sił pierwotnych instyktów lub intelektualistycznego przerafinowania. Im czynił to inteligentniej, im bardziej fascynował błyskotliwym talentem, tym więcej szkodził i wciąż jeszcze szkodzi. Nie wierzę absolutnie, by kultura zachodu była już tylko próchnem, rozsypującym się w pył. Ale patrząc na takich jej czołowych ponoć przedstawicieli, jak André Gide, możnaby prawie przypuszczać, iż tak jest istotnie.

Egon Naganowski

STEFANIA MAZUREK

Na tropach repolonizacji

Dyrektor Państwowego Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych w Opolu, w którym kształci się prawie wyłącznie młodzież pochodzenia miejscowego, zwierza się ze swych prac i wyników repolonizacyjnych. Sprawozdanie to uważamy za cenny przyczynek do historii powrotu Ziem Odzyskanych razem z jej rodzimymi mieszkańcami.

W błyskawicznym tempie — bo w przeciągu kilku miesięcy — stanął nad Odrą w Opolu Biały Dom, pałac szkolny jak młodzież go zwie, w którym mieszka obecnie 205 uczniów (uczennic) uczęszczających do sąsiedniego budynku, w którym mieści się Państwowe Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych. Szkołę tę stworzyć musiało serce, skoro w przeciągu jednego roku zgłosiło się aż 320 kandydatów pochodzenia miejscowego do nauki w tym gimnazjum. Czuli oni troskliwą opiekę protektora tej szkoły gen. A. Zawadzkiego, b. wojewody śląskiego, który znalazł fundusze na realizowanie projektu, jaki od 1945 r. nurtował w planach organizacyjnych szkolnictwa śląskiego. Zgłaszali się do szkoły tej najpierw z lękiem, wszak między nimi znalazło się sporo takich uczniów, którym kiedyś w roku 1945 z powodu trudności językowych nie wiodło się w polskiej szkole, wysyłali na zwiady miejscowych wójtów lub proboszczów... czy to prawda o szkole dla Ślązaków, czy mogą się głosić do szkoły polskiej nawet jak nie umieją jeszcze czytać i pisać po polsku. Troska jedna wyryta na twarzy ojca: „Róbcie z niego Polaka, ja wam dopomogę“. Zgłaszają się kandydaci z wszystkich zakątków Opolszczyzny, po długoletniej tułaczce wojennej, po powrocie z niewoli, rzucili warsztaty pracy fizycznej, kopalnie, huty, fabryki, w których również ojcowie ich pracują i do których przykuła ich nieznajomość języka polskiego — pełni ufności i wiary w lepsze jutro wstępują do szkoły.

Praca w ośrodku repolonizacyjnym przy Państwowym Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych w Opolu nie jest łatwa. Wymaga wytrwałości, cierpliwości i umiejętności intensywnego skupienia się ze strony uczących się. Wszak uczniowie po szkołach niemieckich mają 8 — 10 godzin nauki w szkole a mianowicie: 4 — 5 godzin na kursach repolonizacyjnych, uczęszczając równocześnie do gimnazjum i liceum dla dorosłych, gdzie zapoznają się z kolegami z innych terenów Polski, wiążąc się z nimi w koleżeńskiej współpracy i serdecznej przyjaźni. To co stanowi dla młodzieży pochodzenia miejscowego największą atrakcję w szkole, to 5 — 8 miesięczny okres asymilacyjny, w ciągu którego uczniowie wrastają w atmosferę psychiczną polskiej szkoły, przyswajają sobie mowę ojczystą, wyrównują braki w zakresie literatury polskiej, historii i geografii polskiej oraz nauki o Polsce, oswajają się z książką polską oraz prasą współczesną. Roczne doświadczenie wykazało, że pracowitość i obowiązkowość wrodzona Ślązakowi, systematyczność i zdolności organizacyjne oraz głęboka powaga, charakteryzujące jego stosunek do pracy, nie pozwoliły młodzieży ostygnąć w zapale do nauki i dały jej siły do przełamania trudności, jakie piętrzyły się przed uczniami zwłaszcza pochodzenia miejskiego, którzy mieli znacznie słabsze przygotowanie językowe aniżeli koledzy ich ze wsi. Punkt przełomowy w tej pracy stanowi moment zerwania całkowitego z książką niemiecką, raczej z podręcznikiem niemieckim, którego młodzież trzyma się kurczowo z uwagi na brak znajomości terminologii zwłaszcza w przedmiotach takich jak biologia, fizyka, chemia itd. Zachodziła więc w pierwszym rzędzie paląca potrzeba organizowania biblioteki podręcznikowej, dzięki której wyrugowano całkowicie podręczniki niemieckie w przeciągu krótkiego czasu. Nauka stanowi ważny czynnik w procesie związania młodzieży z Polską oraz w jej uświadomieniu ideowo-politycznym, jej towarzyszyć musi jednak czynnik emocjonalny, musi iść w parze z bogactwem przeżyć. W pierwszym etapie repolonizacji, kiedy kultura polska nie przemówi jeszcze całkowicie do budzącego się serca Polaka, winna młodzież uświadomić sobie polskość ziemi rodzimej, polskość przechowaną wśród ludu śląskiego w swoistych formach, w pieśniach, przysłowiach, w folklorze i zwyczajach. Zbieranie reliktów polskich, przechowywanych w okolicach sąsiednich a często nawet wśród najbliższych, należało do głównych zadań Koła Krajoznawczego, zorganizowanego już w początkach w ramach prac samorządu internatowego. Bogactwo pierwiastków polskich, wątki mityczne pozostały w baśniach i legendach z epoki słowiańskiej i przechowane jeszcze w odległych zakątkach Opolszczyzny, dane i fakty historyczne dokumentujące walkę o polskość Śląska z okresu ostatnich dziesiątek lat snują się poprzez wszystkie materiały ludowe i historyczne, jakie zebrane zostały przez młodzież miejscową. Uświadomiła sobie polskie pochodzenie miastek i wiosek śląskich. Mikulczyce od założenia swego rycerza Dobesława z Mikulczyc, Tarnów „Opolski“ od tarnki, która jeszcze do niedawna licznie rosła po miedzach, Biskupice po biskupstwie krakowskim, do którego należał kościół tamtejszy aż do wieku XIX. Wymieniają liczne kaplice i kościoły, w których znajdowały się cudowne wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej, jak n. p. w kaplicy pod Gogolinem, w której wytryska cudowne źródło płynące według legendy z Częstochowy, albo też w znanym kościele M. Bożej na ziemi raciborskiej, o którym legenda głosi, że w miejscu tym pierwotnie znalazł się obraz M. Boskiej Częstochowskiej; wymienia licznych rycerzy przybyłych na ziemię śląską z ojczyzny polskiej, jak rycerz kielecki, który zakładał Kiełczę, Gomółka z Sandomierza, który założył Tarnów Opolski itd. Odżyły wśród młodzieży imiona męczenników sprawy polskiej na Śląsku jak ks. Józefa Waidy, bojownika o polskość chłopów śląskich; stanęła młodzież przed grobami powstańców śląskich w Mikulczycach, Zabrzu, Zawadzkim, na których niszczycielska ręka zatarła wszelkie ślady napisów polskich. Nie są to groby nieznanych żołnierzy, bo wieś cała, najbliżsi wszyscy wiedzą, że tam spoczywają ci, którzy krew swą wylali za wolność Śląska. Ile momentów dałoby się jeszcze wymienić, ile faktów emocjonujących młodzież w duchu narodowym w zebranych przez nią materiałach. One wszystkie są równocześnie dokumentami fałszu i kłamstwa, jakie głosiła nauka niemiecka wśród młodzieży w szkole.

Podkreślić jednak należy, że polskość Śląska stanowi pomost do kultury ogólno-polskiej i że pokochawszy polską ziemię rodzinną, umiłuje również daleką ziemię ojczystą. W tym celu zorganizowano wycieczki do Polski Centralnej oraz obóz letni w Poroninie, który dał młodzieży możność poznania ziemi polskiej. Z połaci ziemi polskiej, jaką młodzież zwiedziła, ukochała ona najbardziej krajobraz Tatr i z nim też najsilniej czuje się związaną. Pokrewieństwo gwary góralskiej, pewna pierwotność cechująca lud góralski, czar krajobrazu górskiego a zwłaszcza dziki charakter przyrody tatrzańskiej przemówiły do psychiki śląskiej.

Przeżycie niezwykłe, silne i o ogromnej rozpiętości w skali uczuć stanowiło dla młodzieży miejscowej zwiedzanie Oświęcimia. Barbarzyństwo i bestialstwo niemieckie, które w Oświęcimiu święciły swoje triumfy, stanowić musiały dla większości młodzieży punkt zwrotny w ich stosunku do Niemiec. „Od chwili zwiedzania Oświęcimia“, tak oświadczają niektórzy z uczniów, „czuliśmy, że nie mamy nic wspólnego z narodem, który tak bestialsko mordował Polaków, niszczył człowieka“. Wstrząsające wrażenie wywarł Oświęcim zwłaszcza na tych, którzy stracili tam swoich najbliższych. Tak pisze jeden z absolwentów gimnazjum, pochodzący z Tarnowa Opolskiego, obecnie stud. med. na uniwersytecie poznańskim:

„Nad głównym portalem do obozu oświęcimskiego, napisane jest dużymi literami: „Arbeit macht frei!“ Jakie piękne słowa — a jakie kłamliwe, bo Oświęcim — to piekło, inferno dantejskie! Te same jak tam słowa: „Lasciate ogni speranza voi ch entrate“. „Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją“ powinne były być umieszczone nad wejściem do obozu Auschwitz O. S., Auschwitz Oberschlesien czyli też Auschwitz Obóz Śmierci. Nomen omen!“

W Termopilach w Grecji stoi prawie już pół trzecia tysiąclecia kamień-pomnik ku czci Leonidasa i jego 300 Spartan ze znanym, klasycznym napisem: „Dic! hospes Spartae nos te hic vidisse iacentes, dum sanctis patriae legibus obsequimur!“ W Brzezince podnoszą się z popiołu ludzkiego gruzy czterech krematoriów, jako wieczne „reminiscere!“ tych milionów, które tu skończyły swą drogę krzyżową. Na gruzach tych niewidocznymi ale krwawymi literami czytasz: „Wędrowniku, gdy wrócisz do domu, powiedz tam, żeś nas tu widział poległych według świętej ustawy Ojczyzny i serca!“

W procesie zespalania młodzieży miejscowej z Macierzą rolę niezmiernie ważną odgrywa książka polska.

Na kursach przygotowawczych języka polskiego położono szczególny nacisk na wdrażanie młodzieży do czytania i zrozumienia tekstów, by wzbudzić w niej zamiłowanie i przywiązanie do książki polskiej. Wprowadzając młodzież budzącą się narodowo w świat dziejów Polski przeszłości i teraźniejszości, uczyniono to przy uwzględnianiu następujących kryteriów, którymi się kierowano przy doborze lektur. Oto wyjątek z programu kursu przygotowawczego języka polskiego, odnoszący się do lektury.

Lektura powinna obejmować opowiadania, rozmowy, opisy obrazów i faktów rzeczywistych, łatwe utwory poetyckie i prozaiczne przedstawiające:

1. Krajobraz polski.
2. walkę ludu śląskiego o polskość Śląska,
3. bohaterskie momenty z dziejów ojczystych,
4. sylwetki bohaterów narodowych,
5. młodzież polską w walce z Niemcami,
6. prace znakomitych Polaków i ich zasługi w różnych dziedzinach jako uczonych, artystów, działaczy społecznych i politycznych,
7. współczesne problemy gospodarcze (spółdzielczość), społeczno-polityczne (przyjaźń narodów słowiańskich),
8. stosunek człowieka do społeczeństwa, a to szacunek dla pracy fizycznej i umysłowej, solidarność,
9. różne ośrodki pracy zawodowej na wsi i w mieście, ludzi codziennej pracy, w obcowaniu z ludźmi i przyrodą.

W etapie drugim nauki uwzględniono w doborze lektur następujące tematy:

1. rozwój kultury polskiej materialnej i duchowej w ciągu dziejów oraz jej cechy istotne;
2. udział Śląska w rozwoju kulturalnym Polski;
3. uświadomienie roli Polski w walce Słowiańszczyzny z germanizmem;
4. przejawy współczesnego życia polskiego w różnych środowiskach społecznych;
5. udział Polski w organizowaniu współpracy kulturalnej międzynarodowej.

Czytelnictwu młodzieży miejscowej a zwłaszcza jej ustosunkowaniu się do książki polskiej poświęcić należałoby oddzielny artykuł. W doborze lektury dla młodzieży o poważnych trudnościach językowych uwzględnić należy moment opiewający konieczność stopniowania trudności językowych. Lektury wprowadzone zwłaszcza w etapie początkującym odpowiadać muszą psychice młodzieży, muszą uświadomić jej, że swoiste formy życia na Śląsku, które różniły się tak dobitnie od niemieckiego stylu życia, są pochodzenia rodzimego — polskiego. Tym się tłumaczy zainteresowanie, jakie młodzież wykazała czytając M. Parczewskiej „Nad Brzegiem Odry“ oraz A. Gorywody „Pod Górą św. Anny“. W książce Gorywody znalazła młodzież — synowie i córki ludu śląskiego — wszystko co swojskie, a przecież polskie. Jak młodzież przyżywała tę pierwszą polską książkę, jaką czytała, o tym świadczą inscenizacje i obrazy, w których z niezwykłym zrozumieniem odtwarzała typy górnika, powstańca, ucznia Polaka w niemieckiej szkole, opisane w tych opowieściach. — Etap, w którym młodzież uświadomiła sobie polskość Śląska, stanowi etap przygotowawczy do czytania książek o tematyce ogólno-polskiej. Badania przeprowadzone w zakresie czytelnictwa młodzieży miejscowej wykazały, że lęk i obawa, jaką młodzież wykazuje przed czytaniem pierwszych książek polskich, zanika już po pokonaniu pierwszych dwóch książek odpowiednio dobranych, i już po pokonaniu pierwszych trudności budzi się w niej chęć do czytania książek polskich, zaczyna rozumieć utwory polskie.

Podkreślić należałoby również prace dokonane nad zespoleniem młodzieży miejscowej z Macierzą, uwzględniając nie tylko jej duchowe wrastanie w dzieje Polski w przyszłości i teraźniejszości ale również jej psychiczną asymilację i związanie się z kolegami z innych terenów Polski. Przy obopólnym negatywnym ustosunkowaniu się, jakie istniało z początku, był to proces niełatwy. Dzięki wybitnym jednostkom spośród uczniów, pochodzących ze Śl. Opolskiego, jak i z Polski Centralnej, nastąpiło po krótkim czasie porozumienie. Związała ich wspólna praca na ławce szkolnej, wspólne przeżycia w pracach organizacyjnych, istniejących na terenie internatu i szkoły. Współpraca w organizacjach zwłaszcza w Z. M. P., do którego należy 80 proc. młodzieży pochodzenia miejscowego — to bodaj najsilniejsza więź, jaka skuła młodzież miejscową z braćmi Polakami z innych terenów Polski.

Stefania Mazurek

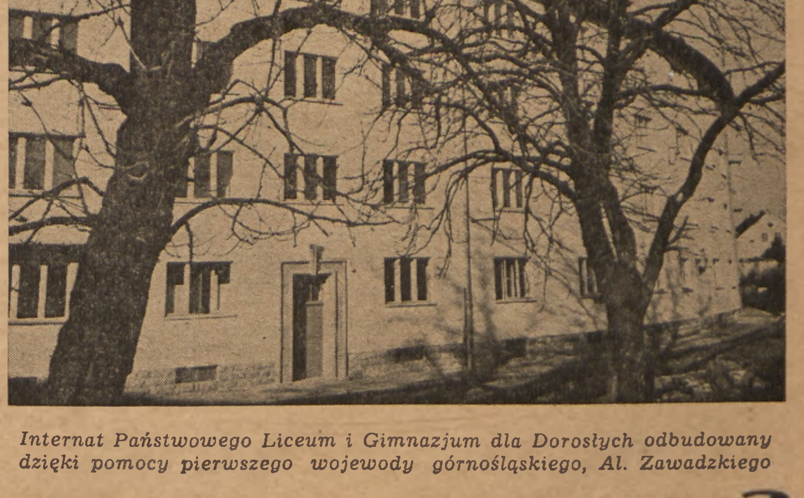

Internat Państwowego Liceum i Gimnazjum dla Dorosłych odbudowany dzięki pomocy pierwszego wojewody górnośląskiego, Al. Zawadzkiego

---

Korespondencja

Suum cuique czyli polemika o Lompę

Szanowny Panie Redaktorze!

Kiedy w roku ubiegłym wyszedł opracowany przeze mnie życiorys Lompy, nigdy nie przypuszczałam, że ta skromna książeczka wywoła aż tyle sprzecznych opinii i że będę zmuszona, aczkolwiek niechętnie, zabrać publicznie głos w tej sprawie.

Postacią Lompy zainteresowałam się w r. 1946 i zaczęłam poszukiwania dotyczące go w Archiwum Archidiecezjalnym we Wrocławiu. Mimo, iż Instytutowi Śląskiemu wiadomo było o tych moich poszukiwaniach, dopiero w styczniu 1947 zdecydował się zamówić u mnie napisanie książki o Lompie i to w terminie bardzo szybkim, bo do kwietnia t. r. ze względu na zbliżającą się 150. rocznicę urodzin pisarza. W tych warunkach musiałam ograniczyć się jedynie do życiorysu, odkładając na później omówienie działalności pisarskiej Lompy. Instytut zastrzegł sobie przejrzenie pracy przed wydrukowaniem, względnie nawet porobienie małych poprawek. Na ostatni warunek zgodziłam się chętnie, licząc na to, że w Instytucie zasiadają znawcy spraw śląskich, których zdanie może być bardzo cenne dla pracy. Wobec tego uważam, że nie sama ponoszę odpowiedzialność za treść książki. Instytut tekst mój zaakceptował właściwie bez zmian. Pracy swej nie dzieliłam na rozdziały, uważając że jest na to zbyt małych rozmiarów. W Instytucie podzielono ją jednak na rozdziały, nadając niektórym tytuły odpowiednie raczej dla artykułów gazeciarskich. W Instytucie też praca została jeszcze raz przepisana na maszynie, wszystkie odsyłacze przeniesione na koniec książki, przy czym nie obeszło się bez przekręceń słów i skrótów. Ze względu na pośpiech, w Instytucie także dokonano korekty. W rezultacie książka ma wiele błędów słownych, nad tekstem bowiem pastwili się wspólnie: maszynistka, zecer i korektor.

We wstępie zaznaczyłam wyraźnie, że zdaję sobie sprawę z wielu braków książki, wobec tego że mogłam się oprzeć jedynie na tych materiałach, jakie w czasie opracowywania tematu znałam i jakie były dostępne. Zaznaczyłam również że wiele momentów z życia i działalności Lompy pozostaje jeszcze do wyjaśnienia.

Mimo wszelkich braków książka spotkała się na ogół z dość przychylnym przyjęciem ze strony nawet poważnych naukowców. Najmilsze dla mnie są słowa uznania ze strony p. Konstantego Prusa, pierwszego autora życiorysu Lompy. Za wszystkie krytyczne uwagi jestem szczerze wdzięczna i postaram się je zużytkować przy dalszej pracy nad Lompą.

Jednakże nie wszystkie uwagi, które dotarły do mojej wiadomości, noszą rzeczowy i obiektywny charakter.

Wśród materiałów, z których korzystałam, były także listy Lompy do Bartoszewicza w opracowaniu Aleksandra Rombowskiego, które wydawca zgodził się mi udostępnić w maszynopisie przed wydrukowaniem. W przedmowie złożyłam za to p. Rombowskiemu podziękowanie i ilekroć wypadło mi na te listy się powoływać, wymieniałam jego nazwisko. Atoli wskutek wymienionych perypetii, niestety w trzech odsyłaczach nazwisko p. Rombowskiego zostało opuszczone.

P. Rombowski uczuł się tak dotknięty, że wystosował pismo do „Odry“ Nr. 39 (96) z 28. IX. 1947, gdzie nie tylko wytknął mi to nieszczęsne opuszczenie, nie tylko pracę moją odsądził od wszelkiej wartości, ale napisał, że żadnych własnych poszukiwań nie prowadziłam, a w odsyłaczu Nr. 44 dopuściłam się fałszu. Na pismo to nie odpowiedziałam zaraz dla tej prostej przyczyny, że go wówczas nie czytałam. W ostatnim zeszycie „Zarania Śląskiego“ w artykule „Casus Champensona“ p. Rombowski uważał za stosowne w odsyłaczu 33 i 34 zaczepić znów moją pracę.

Wolno wprawdzie p. Rombowskiemu krytykować mnie dowoli, ale nie wolno mu uciekać się do fałszowania prawdy. Albowiem świadomą nieprawdą jest twierdzenie, że w odsyłaczu Nr. 44 dopuszczam się fałszu, nieprawdą jest, że nie robiłam żadnych samodzielnych poszukiwań, że w odsyłaczu Nr. 48 podaję błędną sygnaturę aktu archiwalnego, gdyż zaszła tylko drobna pomyłka drukarska. Wreszcie przechodząc do sprawy usunięcia Lompy z posady, p. Rombowski pisze: „Janina Ender (o. c. 74) twierdzi, że w motywach wyroku na Lompę nie podano, że usunięcia jego żądał magnat niemiecki, mimo to pisze (o. c. k. 79), że właśnie hr. Reichenbach „ponad wszelką wątpliwość“ stał się przyczyną upadku Lompy. Jeśli w motywach wyroku nie powiedziano nic o hr. Reichenbachu to skąd się bierze twierdzenie J. Ender?“

Przede wszystkim w swojej pracy piszę wyraźnie (str. 76), że na usunięcie Lompy złożyło się szereg przyczyn, które mogłyby być wyjaśnione, gdyby odnalazły się odnośne akta rejencji opolskiej i landratury lublinieckiej, decydującym jednak było to że usunięcia tego żądał niemiecki magnat górnośląski. Istotnie bowiem, chociaż od lat kilkunastu (nie kilkudziesieciu, jak chce p. Rombowski) zamyślano o usunięciu Lompy to nie nadarzał się do tego odpowiedni pretekst. Dopiero kiedy hr. Reichenbach, zięć Donnersmarcka, właściciela Lubszy, oskarżył Lompę przed biskupem wrocławskim, rozpoczął się proces który miał dla naszego pisarza następstwa fatalne. Skąd biorę to twierdzenie? A toć piszę wyraźnie: z Acta denunciationis c/a den Schullehrer Lompa in Lubschau Archiwum Archidiecezjalne we Wrocławiu. Pan Rombowski, który tak starannie sprawdza wszystkie moje odsyłacze, na pewno i to czytał. Po co więc udaje, że nie wie?

Ceterum censeo: książka moja ma wiele usterek pan Rombowski woli jednak wyszukiwać błędy nieistniejące i zmyślone. Czy nie lepiej skupić pracę wszystkich historyków mających chęci i zdolności po temu (a p. Rombowski niewątpliwie także do nich należy) nad badaniem tak drogiej dla nas wszystkich przeszłości Śląska, niż tracić czas i energię na złośliwe i małostkowe osobiste wycieczki i utarczki?

W sprawie mego życiorysu Lompy zabrał także głos felietonista „Słowa Polskiego“ we Wrocławiu p. Szafraniec (1947 Nr. 243). Ten uznał za sprawę najważniejszą ustalenie, że nazwisko pisarza pochodzi od lump, nie od lampa, jak twierdził sam Lompa, zresztą znawca narzecza górnośląskiego, który przecież prowadził nawet badania dialektologiczne, i jak pisze Prus i ks. Szramek, również rodowici Górnoślązacy. Pan Szafraniec wie także najlepiej, że Lompa był pijakiem, przy czym terminu uraz alkoholika używa ni w pięć ni w dziewięć. Wszystko inne według p. Szafrańca jest nieistotne i nieważne. W ogóle na pisanie życiorysu Lompy szkoda papieru. Należy natomiast zapoznać się ze sztuką Gołby o Lompie. Osobiście uważam, że sztuka Gołby zasługuje ze wszech miar na rozpowszechnienie, ale rozumując tak jak p. Szafraniec, można by również powiedzieć: po co przeprowadzać mozolne badania nad historią np. Egiptu? wystarczy iść na „Aidę“ albo przeczytać „Faraona“.

Dr. Janina Ender
Wrocław.

Ilustrowana kronika teatralna

„Wczoraj urodzony“ na scenie Państwowego Teatru Śląskiego w Sosnowcu. Od lewej: Zbisław Pelc, Rudolf Gołębiowski, Kazimierz Lewicki, Janusz Ziejewski i Władysław Brochwicz

Janusz Ziejewski i Danuta Kwiatkowska we „Wczoraj urodzonym“ Kanina

Państwowy Teatr Miasta Świdnicy. Jolanta Skubniewska i Wiktor Biegański w „Kandidzie“ G. B. Shawa

---

Wśród CZASOPISM

Ostatnią wielką rocznicą poetycką, którą obchodziliśmy tak uroczyście jak dziś obchodzimy rocznicę Mickiewicza było czterechsetlecie urodzin Jana Kochanowskiego w r. 1930.

Stopięćdziesiąta rocznica urodzin największego polskiego poety stała się słusznie niemal świętem narodowym, które nie skończyło się na jednym dniu, bo takich rocznic w ramach ścisłej daty zamykać nie można. Są zbyt bogate w swej treści, zbyt wiele budzą doznań i przeżyć. O jak najdogodniejsze uczczenie mickiewiczowskiej rocznicy postarała się prasa polska, codzienna i periodyczna. Zresztą przyznać trzeba, że prasa literacka nie czekała aż na tę specjalną okazję. W rocznikach naszych tygodników i miesięczników za lata ubiegłe znajdziemy sporo cennych studiów mickiewczowskich o różnorodnym charakterze, od historyczno-literackich i przyczynkarskich do doskonałych w swej formie essayów. Myślę, że chociaż trzy nazwiska z tych rejestrów warto przypomnieć: Wacław Kubacki, Julian Przyboś i Mieczysław Jastrun. Ten ostatni beletryzował życie i twórczość poety, Przyboś odkrywał subtelnie i wnikliwie arkana jego artyzmu, Kubacki dawał nowoczesne historyczno-literackie ujęcia poszczególnych problemów mickiewiczowskich. Możemy więc powiedzieć, że czasopisma literacckie, „Twórczość“, „Kuźnica“, „Odrodzenie“, przygotowywały dzisiejszą rocznicę i pozbawiły ją doraźnego charakteru.

Ale właściwie żaden tygodnik literacki nie wystąpił z numerem specjalnym, których tyle i tak bogatych wydano w latach ostatnich przy innych, czasem i mniej ważnych okazjach. Najobszerniej uwzględniła rocznicę *Kuźnica*, ale i tu nie starczyło materiału na całość, którą uzupełniono sprawozdaniem z pobytu teatru Obrazcowa w Polsce oraz artykułem o literaturze dla dzieci. Ten sam stan rzeczy zaznaczył się w świątecznym numerze *Odrodzenia*, a *Nowiny Literackie* i *Tygodnik Powszechny* poprzestały na zaznaczeniu rocznicy przez jeden lub dwa artykuły. W obawie przed zanudzaniem czytelnika w okresie świąt? Widocznie zbyt przyzwyczailiśmy się do nudnego pisania o Mickiewiczu i nie czytania tego, co się o nim pisze. Zresztą nie dziwmy się, tradycja w tej mierze jest bogata i pokutuje do dzisiejszych dni. Już po wojnie spotkałem się w druku z nową interpretacją cyfry 44 z „Widzenia księdza Piotra“, z której dowiedziałem się, że Mickiewicz prorokował tu rok 1944. Autor jednak nie tłumaczył przeoczenia dziewiętnastu wieków, wychodząc widocznie z założenia, że widzenie mistyczne ma swoje odrębne prawa i może zlekceważyć suchy rachunek lat. Przytaczam to jako wypadek nadgorliwości w aktualizowaniu Mickiewicza. Na szczęście z kontyuacją tego zjawiska na ogół się nie spotykamy.

Charakteryzowanie Mickiewicza jako socjalisty zamyka się w ramach słusznego umiaru. Całkowicie sprawiedliwie wyrównujemy w tym zakresie celowe przemilczenia historyków literatury starej daty, korygujemy sądy Kallenbacha czy Windakiewicza i całkowicie celowo uzupełniamy portret duchowy Mickiewicza nowymi, zacieranymi dotąd rysami. I równocześnie z całą słusznością nie okrzykujemy go urbi et orbi socjalistą, spokojni o to, że w niezmierzonej dotychczas głębi poezji mickiewiczowskiej każda epoka znajdzie swoją niekłamaną strawę duchową, tak jak każde pokolenie poetów znajduje w niej nowe, niezauważane skarby artyzmu.

Jeśliś, czytelniku, przestraszony tym, że ci rocznica mickiewiczowska zmierzwi poetę i zamąci smak świątecznych przysmaków, odsunął na bok artykuły poświęcone poecie czekając na bezpośredni urok jego poezji, który ma ci wypromieniować zapowiedziane wydanie, radzę odgrzebać odłożone numery niektórych pism i w wolnej chwili przeczytać niektóre związane z rocznicą poezje.

Biorąc pełną odpowiedzialność za tę zachętę, pragnę wskazać na rzeczy godne przeczytania. A więc w najlepszym tego słowa znaczeniu okolicznościowy artykuł Stanisława Pigonia w *Tygodniku Powszechnym* a obok niego w podobnym charakterze utrzymany i zawierający niektóre zbieżne stwierdzenia artykuł Juliana Przybosia w *Odrodzeniu*. Obydwa pozbawione są oficjalnej pompy a wiele mówią o Mickiewiczu na dziś, o takim Mickiewiczu, jakiego szukamy. Mieczysław Jastrun ma w rocznicowych numerach różnych pism kilka pozycji. Jako najlepszą chciałbym wskazać fragment z biograficznej opowieści o Mickiewiczu, pełną plastyki, dobrej argumentacji i wdzięku „Romantyczność“ *(w Odrodzeniu)* a obok tego również pełen trafnych uwag i spostrzeżeń artykuł „Dramat poety“ *w Kuźnicy*. Inny fragment tej samej książki Jastruna o Mickiewiczu (Rok 1812) umieściła *Polska Zbrojna*. Czyta go się z równym zadowoleniem, jak pierwszy. W *Kuźnicy* wart jeszcze uwagi artykuł Leona Gomolickiego „Z badań nad rosyjskim okresem życia Mickiewicza“. Interesujące hipotezy na temat dalszych losów „Dziadów“ w zamierzeniach poetyckich Mickiewicza przynosi studium Juliusza Saloniego „U źródeł nienapisanego dzieła żywota“. W *Odrodzeniu* dużo ciekawych i trafnych myśli wnosi artykuł Andrzeja Stawara „Paradoksy romantyzmu“. Poza tym trudno jest polecić coś specjalnie. Prasa codzienna przyniosła materiał okolicznościowy mniej lub więcej dobry, w żadnym jednak wypadku nie zasługujący na szczególne zainteresowanie *(Kurier Codzienny, Rzeczpospolita, Słowo Powszechne, Polska Zbrojna)*. Niektóre z tych artykułów dobrze spełniają swe popularne przeznaczenie.

Na zakończenie słowo jeszcze trzeba poświęcić sprawie pomników Mickiewicza. Ob. Kazimierz Pollack wymądrzył się opisując odsłonięcie pomnika poety w Warszawie w r. 1898 (Rzeczpospolita). Jak wiadomo pomnik ten postawiony został po przezwyciężeniu wielu trudności przez komitet, któremu przewodniczył Sienkiewicz, i odsłonięty został w całkowitym milczeniu, bo taki był rozkaz carskiej policji. To właśnie się ob. Pollackowi nie podoba. Kpi straszliwie z tchórzliwych panów komitetowych, urąga im i wymyśla. Teraz po 50 latach życzyłby sobie, by pod pomnikiem wygłoszono dwadzieścia mów i odśpiewano pieśni rewolucyjne, w ogóle żal mu, że nie było żadnego ruchu, żadnej strzelaniny i żadnych trupów. I w całym artykule stwierdza wbrew sobie ponad wszelką wątpliwość, że gdyby istniał cień możliwości tego rodzaju manifestacji, pomnik nie stanąłby w ogóle, bo pozwolenie zostałoby cofnięte. I nie byłoby tej milczącej, wstrząsającej do głębi manifestacji, której ognia nie zalały potoki wody z mównicy. I nie byłoby wierszy, które wokół niego powstały. Ob. Pollack ośmieszył wielki wysiłek społeczeństwa polskiego pod zaborem carskim, ale sam skompromitował się rzetelnie. Tylko że jego kompromitacja nie ziębi nas ani nie grzeje.

Inną sprawę porusza Artur Chojecki w *Tygodniku Powszechnym*. Chodzi o nowy pomnik Mickiewicza w Krakowie. Głosuje on stanowczo przeciw powtórnemu stawianiu odnalezionego w Niemczech pomnika Rygiera a opowiada się za postawieniem pomnika według szkicu Matejki, co sprawia, że mimo słuszności ogólnych wywodów Chojeckiego mamy możność równie stanowczego głosowania przeciwko projektowi Matejki. Nie dlatego, że Mickiewicz jest na nim pół nagi, lecz dlatego, że nikt z nas nie jest zdolny sobie w ten sposób Mickiewicza wyobrazić i że to w ogóle nie jest Mickiewicz. Może Napoleon, gdyby był ostatecznie zwyciężył, kazałby sobie wystawić takie pretensjonalne paskudztwo. (ki)

Wielkie przedstawienie

na „Małej Scenie“

Państwowe Teatry Śląsko-Dąbrowskie, Katowice. G. B. Shaw — „Szczygli zaułek“, komedia w trzech aktach. Przekł. Fl. Sobieniowskiego. Reż. Jerzego Merunowicza.

Jeśli istnieje konwenans, że recenzentowi teatralnemu nie wypada się tak entuzjazmować jak zwyczajnemu teatromanowi, to nie nazywajcie mnie odtąd recenzentem. Ponieważ pragnę się właśnie entuzjazmować: jakież to piękne i doskonałe przedstawienie! Warto było czekać pół roku na taką inaugurację „Małej Sceny“. Nareszcie znowu dobre i poważne dzieło teatralne, gdzie widz-słuchacz rzeczywiście coś głęboko przeżywa i gdzie artysta może pokazać co umie.

„Szczygli zaułek“ wielkiego kpiarza i tragika zarazem, określony przez autora jako komedia, jest utworem dosyć daleko stojącym od tego gatunku literackiego, którym zwykliśmy nazywać dzieła bawiące, wesołe; komedia Shawa nie jest komedią. „Szkoła żon“, „Damy i huzary“, „Ożenek“, „Wieczór trzech króli“ posiadają typowe, każde dzieło inne, cechy komediowe; komediowość jest w tych utworach wyraźnie zdefiniowana. Natomiast komedia Shawa nie mówi — bawcie się, oto ludzie są głupcy i śmieszni. Ale woła: śmiejcie się, oto ludzie są straszni, oto świat jest przerażający w zakłamaniu, oto w ustroju, w którym żyję, zbrodnia nazywa się dobrym interesem, a fałsz dobrym wychowaniem!

Sartoriusz — bogacz, kupiec, dzierżawca, który „pracą rąk własnych“ jak mawia, dorobił się kapitału i z syna zwyczajnej praczki wydostał się na wyżyny kapitalizmu — ma dorosłą córę na wydaniu; dał jej wykształcenie wszechstronne i z gorliwością nowobogackiego oraz z namiętnością człowieka, który wyrwał się z nędzy stara się o uzyskanie prawa obywatelstwa w świecie arystokracji; zewnętrznie posiada już wszystko: pieniądze, bogate mieszkanie z odnajętą biblioteką, posiada pełną „bon tonu“ córę, umiejącą się znaleźć z godnością gdzie trzeba, ale objawiającą i ordynarność i prostacką brutalność w czterech ścianach domu. Sartoriusz kocha swoją córkę, Blankę. Dla niej się trudzi i wyciska z nędzarzy ostatnie grosze. Jest bezwzględnym, bezlitosnym administratorem domów w najbiedniejszej dzielnicy Londynu w tzw. „Szczyglim zaułku“. Za nędzne nory, których nie remontuje zdziera ostatnią koszulę ze swych lokatorów. Pomaga mu w tym procederze komornik-urzędniczyna Syroliz. Takim to sposobem Sartoriusz przygotowuje Blance ogromny posag. Akurat na wycieczce zagranicznej w jednej z francuskich miejscowości Blanka poznaje młodego doktora Trencha, podróżującego w towarzystwie arystokratycznego Cokana. Serca Blanki i dr. Trencha płoną. Sartoriuszowi na rękę ta miłość z młodzieńcem, należącym do wysokiej sfery. Dr Trench jest naładowany miłością i idealizmem w stosunku do ludzi. Reprezentuje zapalczywą, szlachetną młodość. Nie przeszkadza mu fakt, że Blanka jest córką zwykłego mieszczańskiego bogacza. Zdegenerowanemu podupadłemu arystokracie Cokanowi przestało to również przeszkadzać, kiedy mu Sartoriusz podsunął pod nos pieniądze...

Ale oto w dniu zaręczyn dowiaduje się dr Trench i jego nieodstępny przyjaciel Cokane, jakie są w rzeczywistości źródła dochodów, którymi się tuczy Sartoriusz. Otwiera im oczy na te sprawy komornik-urzędniczyna Syroliz, co dopiero wygnany jak pies z posady u Sartoriusza za to, że dał naprawić w jakiejś ruderze schody, na których „hołota“ łamała sobie nogi. Dr Trench i Cokane czują, że sprawy Sartoriusza są brudne lecz dlatego, że i Syroliz maczał w tym brudzie palce są wobec niego wyniośli i nie ujmują się za nim u jego pryncypała. Następuje rozmowa dr. Trencha z Blanką. Trench oświadcza, że nie chce jej posagu, że Blanka ma zrezygnować z wszystkiego, co by jej ojciec chciał dać przy zamążpójściu. Blanka nie wie o co chodzi. Po dramatycznych starciach dr. Trench i Blanka równocześnie zrywają zaręczyny. Zaś samemu Sartoriuszowi dr Trench oświadcza wprost: „jest pan draniem, wyzyskiwaczem, kanalią, żerującą na biednych ludziach...“.

Lecz co się okazuje? Wczorajszy syn praczki a obecny kapitalistyczny drań i wyzyskiwacz Sartoriusz posiada świadomość swojego drańśtwa, ale Trench, szlachetny dr Trench, jest takim samym draniem i wyzyskiwaczem tylko o tym raczy nie wiedzieć! Wszelako informuje go o tym szczegółowo i dobitnie Sartoriusz; kapitały dr. Trencha są właśnie ulokowane w tych domach, którymi Sartoriusz administruje i z których regularnie co miesiąc musi odsyłać na konto dr. Trencha wysoki lichwiarski procent; jakże nie ma dusić biedaków, skoro musi starczyć i na procent i na własne bogacenie się. Jest tedy cały łańcuch drańśtwa; a ogniwa tego łańcucha są silnie spojone. Jednak dr Trench mimo namów spodlałego Cokana, zalecającego „rozsądek“ — zrywa z Sartoriuszem i jego córą. Wzniosłość szlachetność, ludzkie instynkta? Czekajcie, wszystko to się wali. Toć procent Trench nadal pobiera, no, a potem... Niedługo potem, kiedy ów komornik-urzędniczyna, którego mowa jeszcze nie tak dawno w kantorku Sartoriusza w chwili wylatywania z posady pobrzmiewała nutą rewolucyjną, nutą walki o sprawiedliwość społeczną — kiedy ów Syroliz staje się dzięki jakimś machinacjom takim samym, jak niedawny jego pryncypał, bogaczem i administratorem-wyzyskiwaczem — dr Trench wciąż jeszcze wyniosły, wciąż jeszcze szlachetny, wciąż jeszcze buntujący się przeciwko bogaceniu się na biedocie... przystępuje wreszcie do bardzo zyskownej spółki z Sartoriuszem i Syrolizem. Domy w „Szczyglim zaułku“ będą remontowane, każdy z trzech spólników włoży do tego trochę grosza... biedotę wyrzuci się na bruk i obsadzi domy bogatymi lokatorami, a to wszystko po to, by w niedługim czasie otrzymać... ogromne, nieproporcjonalne do wkładu, sumy odszkodowań, albowiem magistrat przez „Szczygli zaułek“ poprowadzi szerokę ulicę i kamienice zburzy. Sztuka kończy się przerażającym akcentem zgody dr. Trencha i Blanki. Na scenie już nie ma nikogo, kurtyna nie spada, celowo przetrzymana przez reżysera, a w sąsiednim pokoju odbywają się głośne toasty zapijające świetny podwójny interes dr. Trencha.

Nie wiem czy ta sztuka jest większym uderzeniem w ustrój czy w człowieka. W tym ustroju, w którym rozgrywa się akcja „Szczyglego zaułka“ drabina drańśtwa i wyzysku społecznego jest obszerna, szeroka i wysoka. Jest to drabina, na której szczeblach mieści się zarówno Sartoriusz — kapitalista mieszczański jak i arystokrata Cokane jak i lekarz Trench, jak i, ze sfery biednych pochodzący, Syroliz. Gdzież jest właściwy bohater tej sztuki? Oto jest nim ukryta przed okiem widza, niepokazana na scenie owa biedota „Szczyglego zaułka“, stanowiąca źródło bogactwa dla kamieniczników, administratorów itp. oraz stanowiąca przedmiot ich ponurych interesów. Ale „Szczygli zaułek“ to nie tylko problem społeczno-polityczny, problem ustroju, w którym nic nie pomagają komisje sanitarne, apele w parlamencie oraz energiczne starania chrześcijańskiego księdza. Jest to również problem moralny pojedyńczego człowieka. Atmosfera tej sztuki tchnie pesymizmem, *Shaw nie znalazł człowieka*. Sartoriusz dla miłości córki jest zbrodniarzem społecznym, Syroliz dla ratowania rodziny (a zresztą kto wie w imię czego) staje się takim samym draniem jak Sartoriusz, Blanka dla dostatniego życia przeklina nędzarzy, dr Trench dla miłości pieniądza i Blanki zdradza swe ideały a Cokane? — nie mówmy o tym spodlałym osobniku arystokracji. Smętnie. *Shaw nie znalazł człowieka, znalazł ludzi — egoistów.* Oto prawdziwy zaułek, nie tylko zaułek problemu społecznego, ale może smutniejszy jeszcze zaułek problemu moralnego.

Sztukę zbudowaną po mistrzowsku o świetnych błyszczących ironią i siłą ekspresji dialogach, doskonale trzymającą w napięciu dramatycznym, o świetnie scharakteryzowanych postaciach, o gładko zachodzących na siebie wątkach wyreżyserował z należytym wyczuciem dramatyczności *Jerzy Merunowicz*. Wydaje się, że reżyser bardzo dobrze pojął myśl Shawa podając „Szczygli zaułek“ w atmosferze miejscami nawet narastającej do tragizmu (scena z Syrolizem błagającym o interwencję dr. Trencha i Cokana). Postawienie postaci Blanki, Syroliza i dr. Trencha w ich podwójnym obliczu trafne i stwarzające okazję dla możliwości artystycznych aktorów.

Z pięciu głównych postaci sztuki wszystkie znalazły bardzo dobrych odtwórców. Pani *Maria Velanek* w roli Blanki odniosła wspaniały sukces, grając pannę nowobogacką z dobrymi manierami — kulturalnie, a w odpowiednich okolicznościach brutalnie obnażając wnętrze prostackiej, egoistycznej natury, jaką odznacza się córka dorobkiewicza-kapitalisty. Skądże się ta dobra artystka u nas wzięła? Bardzo ciekawi jesteśmy jej dalszych kreacji. *Bolesław Rosłan* w roli Sartoriusza, *Andrzej Szczepkowski* jako dr Trench, *Jerzy Fitio* w roli Cokana i *Piotr Połoński* w roli Syroliza stworzyli świetną galerię typów angielskiego społeczeństwa. Każdy z nich był inny, każdy z nich wypracował swoją postać do najmniejszych szczegółów. Dopiero taka koncertowa gra stwarza warunki rzeczywistego przeżycia artystycznego. Toteż całemu zespołowi a zwłaszcza reżyserowi Jerzemu Merunowiczowi a także pokojówce (Irenie Massalskiej) i kelnerowi (Zygmuntowi Wilczkowskiemu) należą się pełne i gorące gratulacje. „Szczygli zaułek“ jest niewątpliwym sukcesem Państwowych Teatrów Śląskich. Bądźcie przekonani, na sztukę tę pójdę jeszcze raz. Chociażby dla studiowania gry poszczególnych artystów.

Zbyszko Bednorz.

Bolesław Rosłan i Maria Velanek w „Szczyglim zaułku“ G. B. Shawa na Małej Scenie Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach

Piotr Połoński (Syroliz), Andrzej Szczepkowski (dr Trench) i Jerzy Fitio (Coquin) w „Szczyglim zaułku“ G. B. Shawa

---

Odwiedziny w Głogówku

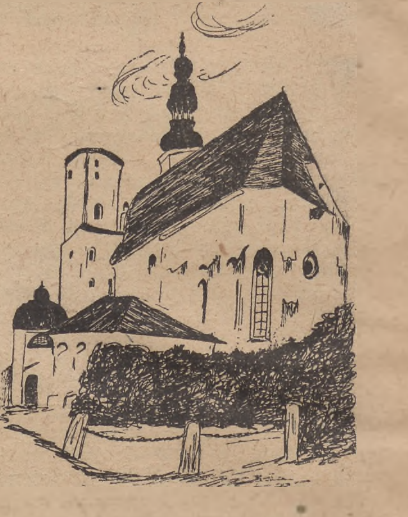

Kolegiata

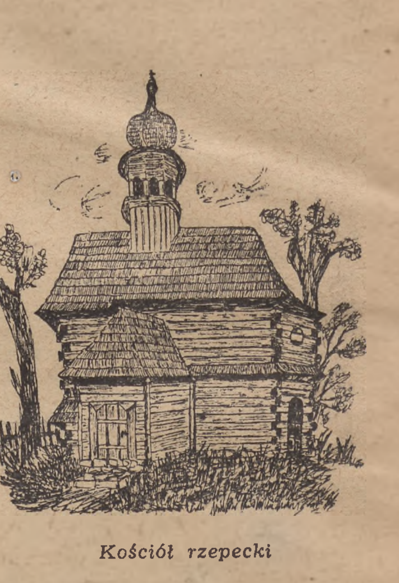

Kościół rzepecki

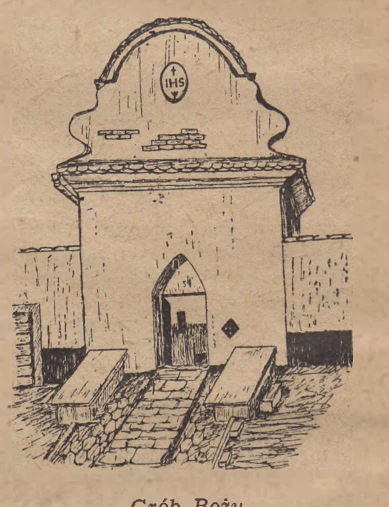

Grób Boży

Rys. Maria Ociepkówna

Kilka uwag o inscenizacji „Dobrze“ Majakowskiego

W Państwowym Teatrze Śląskim idzie „Dobrze“ Majakowskiego. Oto uwagi na temat tej oryginalnej inscenizacji, pióra Krystyny Berwińskiej-Gogolewskiej, która jest autorką przeróbki dramatycznej.

Zrobiliśmy eksperyment. Przełożyliśmy na scenę poemat, a więc rodzaj literacki pozornie najdalszy formom dramatycznym. Celem adaptacji nie było stworzenie rapsodycznego koncertu słowa, lecz stworzenie pełnego widowiska teatralnego, mającego swoją akcję, swoją dynamikę, swoich bohaterów. I to się udało. Genialnie proste słowa poematu stały się słowami żywych ludzi, aktorów działających na scenie, i w kilku pełnych dramatycznych napięć obrazach scenicznych zamknięty został patos wydarzeń Rewolucji Październikowej.

Poetycka skrótowość i metaforyczność tekstu zobowiązywała inscenizatora do syntetycznych, skrótowych, umownych rozwiązań scenicznych. Z widowiska można wyczytać zasadę inscenizacji: żywi, prości, pełni ludzie i najdalej posunięta umowność w zaznaczeniu czasu, miejsca i rekwizytów akcji. Terenem akcji jest kompozycja podestów i schodów, które pod wpływem słów poety i wyobraźni widza stają się okopami na froncie, terenem fabryki, mostem na Newie, barykadą itd. Przejścia od sceny do sceny odbywają się jawnie, na oczach widza, bez żenady. Najwymowniejszym może przykładem śmiałego rozwiązywania problemów inscenizacji jest scena z Pomnikiem Bohaterów Rewolucji: Barykada. Walczący lud woła, że za swoją ziemię pójdzie „na życie, na śmierć i na zgubę“. Na barykadzie pada od kuli marynarz. Zastępuje go inny żołnierz. Także ugodzony — pada. Lud zdejmuje czapki, pochyla głowy. Kobieta z czerwonym sztandarem podchodzi do poległych. Towarzysze walki przykrywają tych, którzy odeszli, sztandarem. Ściemnienie. Nowa scena: Ta sama kobieta stoi nieruchomo ze sztandarem. Za sztandarem wyrosła ściana, a na niej płaskorzeźba: głowa Lenina. Poeta mówi: „Ściana, a przy niej kobieta ze sztandarem“.

Pochylona nad tymi co skryli się w cień jej. Za chwilę Poeta podniesie sztandar, odsłoni Pomnik Bohaterów Rewolucji: to ten sam żołnierz i marynarz, nieruchomi, zastygli w spokojnej śmierci. Następuje dialog Poety z Pomnikiem. Poruszają się tylko usta aktorów. „Wróćcie do snu towarzysze“ — mówi Poeta i zasłania sztandarem pomnik.

Wydaje się, że nasze widowisko mimo licznych niedoskonałości jest może pewnym krokiem na drodze poszukiwania stylu teatralnego naszej epoki. Puśćmy wodze fantazji: zobaczmy to widowisko na ogromnej, simultanicznej, niepudełkowej scenie (może na hali fabrycznej?), pomnóżmy ilość wykonawców z kilkunastu na kilkuset, podeprzyjmy je zamiast muzyki fortepianowej potężną muzyką symfoniczną, czyż nie będzie to monumentalne widowisko wyzwalające entuzjazm mas? Czyż tysiące naszych nowych widzów nie odczują porywającej radości uczestniczenia w tym, co dzieje się na scenie, choć będą znali wydarzenia Rewolucji Październikowej jak widownia amfiteatrów greckich znała swoje mity?

Takie widowiska, obok repertuaru teatru ludowego z Szekspirem na czele, powinny znaczyć drogę naszego teatru, jeśli chcemy przyczynić się do dzieła wyzwalania „anielskiej duszy“ narodu z „rubasznego czerepu“ mieszczańskiej pospolitości.

Krystyna Berwińska-Gogolewska.

Krótkie spięcia

Temat dziwaczny

Właściwie te uwagi powinny były być napisane do numeru świątecznego „Odry“, ale ostatecznie ich wartość (?) może być zawsze aktualna.

Chodzi mianowicie o taką rzecz, jak — gotowanie. Gotowanie to wprawdzie jako wyrażenie brzmi dosyć wulgarnie, ale pod znaczeniem gotowania rozumiemy — przyrządzanie potraw. A przyrządzanie potraw, (brzmi to już zupełnie inaczej) to jest rzecz bardzo ważna. Nie śmiejmy się z tego, ani nie lekceważmy tych spraw. Sztuka kulinarna (słusznie nazwana sztuką!) jest też pewną dziedziną kultury, i to dziedziną wcale niepoślednią. Jest ona zawsze cechą cywilizacyjną a dobra kuchnia więcej się przyczyniła nieraz do zmiany biegu historii, niżby się to mogło na pozór wydawać. Weźmy choćby na przykład bankiety dyplomatyczne.

Przywykliśmy na te sprawy patrzeć, oraz o nich mówić, z pewnym zażenowaniem. Wyrażenie na przykład „uczta lukullusowa“ ma w sobie jakiś posmak ujemny. A tymczasem Lukullus to nie był wcale jakiś bezmyślny obżartuch, lecz człowiek wysoce inteligentny, zdolny strategik i podobno wybitny matematyk. Zresztą tzw. smakoszostwo było zawsze atrybutem ludzi inteligentnych i te wszystkie słynne potrawy, które noszą nazwy powiedzmy takie jak sos Soubise, czy zrazy à la Nelson, lub Boeuf à la Strogonoff, dowodzą przecież że wynaleźli je wcale niegłupi ludzie, jak to możemy stwierdzić w każdej encyklopedii.

Dobrze, ale dlaczego o tym się właśnie tutaj pisze? Otóż dlatego, że są pewne objawy, spotykane zarówno w domach prywatnych, jak i w lokalach publicznych, inaczej w restauracjach, iż sztuka gotowania zaczyna u nas może nie tyle zanikać, co być zaniedbywana.

A tymczasem tego nie wolno nam zaniedbywać! Pamiętajmy bowiem, iż istotą nowych czasów jest we wszelkich dziedzinach i przejawach naszego życia nie jakaś degradacja smaku, lecz właśnie równanie do jego najwyższego poziomu. A jeśli jest już mowa o smaku — to oczywiście chodzi też tutaj o smak w tym najprostszym tego słowa znaczeniu.

Dla „podniesienia więc serc wzwyż i pokrzepienia ducha“ przypomnijmy sobie — a zwłaszcza niech sobie to przypomną kobiety! — co wielki myśliciel John Ruskin napisał w swoich „Ethics“ o gotowaniu, a co niniejszym zostaje tutaj przetłumaczone:

„Gotowanie jest mądrością Medei, Circe, Kalipso, Heleny, Rebeki i Królowej Saby. Gotowanie wymaga znajomości wszystkich ziół i owoców, balsamów i korzeni, oraz wszystkiego tego, co w polu i w obejściu gospodarskim jest zdrowe i smaczne. Oznacza ono troskliwość i dar wynalazczości, uważność i gotowość niesienia pomocy oraz szybkość decyzji. Oznacza też ono oszczędność naszych praprababek oraz wiedzę nowożytnych chemików, oznacza doskonały smak a nie oznacza żadnej rozrzutności, oznacza francuską sztukę oraz gościnność Arabów.“

Tak racja. W gotowaniu jest zawarta — mądrość. Nie pozwólmy więc tej dziedzinie wiedzy (tak jest!) upadać, lecz z Nowym Rokiem pielęgnujmy ją nadal.

Co zwłaszcza Panie niech sobie wezmą szczerze do serca.

NIEJAKI X.

FRASZKI

„TWÓRCZOSC“

Trochę formalizmu, trochę socjalogii
W recenzjach, w krytykach,
Lecz że wcale dobre, do tej „ambologii“
Z czasem człek przyWYKA.

„DZIS I JUTRO“

O. Pirożyńskiego (autora „Co czytać?“)

Językiem krytycznym przemówię w tej dobie:
Autorzy poważni i treść prac głęboka,
A poza tym poziom pisma... taki sobie.

Wincenty Podkowski

Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik“, Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08

R-019503